Nr. 2. Kraków, dnia 9 Stycznia 1909. ROK 1.



„Tygodnik Narodowy“ wychodzi co niedzielę. :: :: :: **Przedpłatę** rocznie **9 kor.**, półrocznie **4 kor. 80 hal.**, ćwierćrocznie **2 kor. 40 hal.** — należy przesyłać na ręce **Administracji** „Tygodnika Narodowego“ w Krakowie, ul. Wiślna 2. (biuro p. Hupczyca). — W ajencjach na prowincji prenumerata kwartalnie **2 kor. 70 halerzy.**

Konto czekowe poczt. kasy oszczędności No. **112 905.**

Z pod zaboru pruskiego.

(Korespondencya poznańska).

Poznań, 4. stycznia.

Redakcya „Tygodnika Narodowego“ wezwała mnie, bym braci drogiej, oddychającej w Galicyi wolniejszem tchnieniem, korzystającej z rozległych swobód narodowych, nie znającej tych praw wyjątkowych, pod których brzemieniem nam nieledwie upadać przychodzi, — przedstawił o ile możności całokształt naszego życia narodowego.

Nie mogę naturalnie z zadania tego wywiązać się w jednej krótkiej korespondencyi. Niepodobnem jest opisać wszystko to, co składa się na całokształt naszego życia politycznego, gospodarczego i kulturalnego w kilku słowach. Życie bowiem nasze płynie korytem bardzo szerokiem, które z dnia na dzień niemal staje się szerszem.

Na razie słów kilka o życiu naszem politycznem.

Podstawą naszego istnienia politycznego, istnienia w warunkach najtrudniejszych, trudniejszych moim zdaniem od warunków, w których żyją bracia nasi pod Moskalem, — jest *silna wiara*, że stan dzisiejszy nie będzie wiecznym, że nastaną dla nas czasy jaśniejsze, promienniejsze. Bez takiej wiary musielibyśmy z natury rzeczy z góry złożyć broń przed wrogiem, posiadającym siłę do wytępienia tego drobnego odłamku narodu polskiego, jaki pod Prusakiem stanowimy. Oto liczby: trzy i pół miliona Polaków — wobec 60 milionów Niemców.

Liczby te są wprost miażdżące!

Mimo to mamy silną wiarę, że nie zmogą nas wszelkie zakusy germanizacyjne, wszelkie ustawy wyjątkowe. Wiarę tę, tę otuchę czerpiemy w fakcie, że mimo stuletniej przeszło niedoli, mimo stuletniej walki z nieubłaganym systemem pruskim, — dotąd *żyjemy,* nietylko żyjemy, lecz wzmagamy się, wzrastamy w siłę, nabieramy coraz więcej uświadomienia narodowego, że stajemy się z dnia na dzień coraz to więcej *obywatelami* naszej polskiej ojczyzny, poczuwającymi się do wszelkich obowiązków, jakie to obywatelstwo na nas nakłada.

Nie pozwoliliśmy się zgermanizować mimo, że od przeszło 30 lat zaczęto rugować ze szkół polskich język nasz ojczysty, że od kilku lat w wielu szkołach naszych nie usłyszysz ani

słówka polskiego, że dzieci szkólne karze się nawet za to, jeżeli podczas przerwy pomiędzy sobą po polsku rozmawiają. Nie zgermanizował nas fakt, że język wielkich naszych Kochanowskich, Skargów, Kościuszków, Słowackich wygnano ze wszelkich urzędów, że sądy karzą nawet więzieniem tych, którzy nie zeznawają jako świadkowie w języku niemieckim. Nie zgermanizowało nas sławne dzieło bożyszcza pruskiego, Bismarka, — Komisya kolonizacyjna, pomimo, że wyrządziło nam ono znaczne szkody materyalne jak i moralne. Do tych ostatnich zaliczam te smutne fakty, że znajdywali się pośród nas Judasze, którym talary pruskie droższe były od honoru i czci imienia polskiego. Tak, sprzedawczykostwo to wielka plama w dziejach naszych porozbiorowych, — tak wielka, jak Targowica za ostatnich chwil Polski niepodległej!

Wobec przykładów zaprzaństwa narodowego tych naszych najnowszych targowiczan, wobec tego ciągłego systematycznego naporu fali germańskiej, dążącej do tego, by nad Wartą po Wisłę powstało takie samo cmentarzysko słowiańskie, jakie obecnie istnieje nad Łabą i nad Szprewą, kędy dziś butny Berlin wznosi swe koszarowe gmachy, — wobec tego wszystkiego jakże nie ubolewać nad tem, że znalazły się jednostki, które szukają ratunku nie we własnem społeczeństwie, we własnym *ludzie,* lecz wśród obcych.

Przechodziliśmy rozmaite ery ugodowości. Wspomnę tylko czasy Kościelskiego. Lecz czasy te były inne, jak obecne. Nawet rząd pruski skłaniał się również do ugody, polityka antypolska nie była wówczas — przejściowo — tak srogą, jak dziś, gdy cała antypolska kuźnia hakatystyczna pracuje gorączkowo i nieubłaganie.

Mimo to znaleźli się ludzie, którzy mają jeszcze nadzieję, że uda się im ugłaskać gad krzyżacki, że uda im się warczących hakatystów zamienić w baranki potulne. Mimo wszystko są jeszcze wśród nas ludzie, nawet w szeregach wybrańców narodu, wśród posłów polskich, którzy wierzą w możliwość takiej sielanki politycznej.

Okazało się to wyraźnie podczas słynnej reformy finansów Rzeszy zabagnionych przez politykę wojskową Niemiec, chciwych pierwszego stanowiska w Europie. Oto cały szereg polskich posłów dopomagał wyciągać „ojczyznę niemiecką“ z bagna finansowego, starając się następnie wmówić w społeczeństwo polskie, że czynił to dla dobra ludu polskiego „wybierając z dwojga złego mniejsze“. Inicyatorem tej głośnej „pracy pozytywnej“, innemi słowy *ugodowej* był poseł górnośląski Adam *Napieralski*, wydawca „Katolika“, wszystkich jego odbitek, oraz poznańskiej „Pracy“, która u Was ukazuje się pod nazwą „Niwy Polskiej“.

Cała ta jego prasa wystąpiła energicznie w obronie jego polityki. Ujęli się za nią inni posłowie górnośląscy, wymieniam tu tylko ks. *Kapitzę.* Słynny obrońca ordynacyi rydzyńskiej, poseł *Dziembowski* naturalnie także kruszył kopie za swym stronnikiem politycznym.

Cała prasa narodowa i demokratyczna wystąpiła naturalnie jednomyślnie przeciw takiej polityce, upatrując w niej niebezpieczeństwo dla polityki narodowej, opierającej się na ludzie jako przyszłości naszej narodowej. Na Śląsku specyalnie zwołano na jedną z ostatnich niedziel ubiegłego roku wielki wiec narodowy do *Stawisk* pod Rybnikiem, na którym zaprotestowano przeciw polityce posła Napieralskiego i jego zwolenników, — a celem skutecznego jej zwalczania powołano do życia Polskie Towarzystwo Demokratyczne.

Lecz z tego jednego faktu, świadczącego smutnie o wyrzekaniu się naszych aspiracyi narodowych nie można wyciągać niekorzystnych wniosków dla żywotności społeczeństwa naszego pod zaborem pruskim.

Przeciwnie! Ostra krytyka, z jaką się spotkały te usiłowania, silne „*veto*“, wypowiedziane przez znaczną większość społeczeństwa, a zwłaszcza przez cały lud, są gwarancyą, iż potrafimy czuwać nad czystością polskiej prawdziwie polityki, że nie damy się zepchnąć na bagna polityki ugodowej, polityki zwątpienia we własne siły.

Wasz.



Rys. Ryszkiewicz Józef.

Wesoła jazda.

Przedwcześnie.

„Czemu krew w żyłach
„Już ziębnie przedwcześnie?
„Czemu ci młodzi
„Pracują jak we śnie?

Nic smutniejszego jak młodzież zimna.

Ledwie na progu życia to serce bić poczyna, a już zimne i lodowate, obojętne i senne...

Ledwie te dłonie wyciągnęły się do jakiejkolwiek pracy, a już zniechęcenie opada i lenistwo się zjawia.

Ledwie na ludzi te oczy patrzeć zaczęły, a już widzą tylko wszystko złe i ciemne, już nic dla nich uroku i piękna niema.

Ledwie z dzieciństwa przeszły te dusze w życie młodości, a już są jak u starców złamane i o grobie myśląc śmierci pragną...

Taki dziś prąd i kierunek, taka pora i moda.

Młodzieniec lub panna entuzyazmem rwąca się do czynu, poświęcenia, miłości, to okaz zastarzały, to mamut z przed wieków...

Dziś trzeba nie wierzyć, nie widzieć, nie słyszeć, nie spodziewać się niczego dobrego, tylko plunąć i rzec: — błoto!...

Wszystko co było — to nic nie warte.

Wszystko co jest — to nic nie warte.

A wszystko co będzie, to będzie dopiero warte jeśli będzie takie moderne i takie całkiem inne, jak dotąd.

Ponieważ zaś co było i co jest nic nie warte, a tego co ma być lepsze, niema, dlatego najlepiej odsunąć się od wszystkiego i nic nie robić, bo i tak życie krótkie, więc poco zaczynać.

Przedwcześnie gaśnie zapał w sercach naszej młodzieży i przedwcześnie zimno grobowe mrozi uczucia młodości.

Jest to choroba zaraźliwa, wpływa na jej szerzenie się literatura szkodliwa, wiele innych czynników składa się także na nią, a my — rodzice i wychowawcy, gdy nie będziemy czuwali i przestrzegali dzieci naszych, będziemy bardzo winni.

W warunkach bytu narodu naszego musi być pielęgnowany zapał i wiara w potęgę czynów wzniosłych.

Ten sam zapał, energia i silna wola, która bohaterów naszych wiodła do zwycięstw świat zdumiewających, powinna nas prowadzić do cichej i wytrwałej pracy w wszystkich kierunkach. To samo męstwo i hart ten sam, który zdołał nas wstrzymać od rozpaczy w najcięższych chwilach, powinien i musi naszą młodzież uchronić od zwątpienia i oziębienia.

Cudzoziemska moda rozpaczy i obojętności wśród polskich dusz nie może się szerzyć.

Gdybyśmy nie kierowali wychowaniem naszych dzieci i nie leczyli obojętności, stalibyśmy się winni wielkiej klęski w narodzie.

„Bez serc, bez ducha, to szkielety i trupy!“
„Nam trzeba z żywymi naprzód iść“,

Chociaż trują młodzież naszą obojętnością, nie dajmy jej ziębnąć. Przedwcześnie to jeszcze na zwątpienie!

Płomień.

Z pożółkych kart

nieśmiertelnego fundatora wiekopomnego

Jana Zamojskiego

Kasztelana i Hetmana W. Kor.
przy założeniu Akademii Zamojskiej.

Do Polaków odezwa.

Skorom się przekonał, iż nic w życiu bardziej pożytecznem, bardziej upragnionem nie jest jak Nauka i Cnota, gdym się przeświadczył, że ni Cnoty, ni sławy, bez umiejętności nauki, dostąpić nie można, cały poświęciłem się nauce. Bez nauk bowiem acz mogą być niektórzy cnotliwi i świetli, gdy lud w ciemnocie, walą się Królestwa, upadają mocarstwa, same dostojeństwa ciężarem się stają. Bez nauki, każda podjęta wyprawa, puszczona na los szczęścia, w samym popędzie zdarzeń, kres swój i zgubę znajdują, bez niej szkodliwe rady w Senacie, mylne wszystkie kroki w rządzeniu, w ciemnotach pogrążone społeczeństwo, oddala się od godności ludzkiej i do trzody bydlęcej zbliża się, to ja zważywszy, cały poświęciłem się naukom, one to w młodości były żywiołem moim, w starości słodyczą, w przeciwnościach pociechą, w toczeniu bojów, w krześle senatorskiem przewodnikiem i mistrzem, w domowem życiu zabawą, nigdy zawadą, one we dniach, w nocach, podróżach towarzyszem najmilszem.

Jeżeli więc idąc za powabem nauk, wszelkiemi siłami dążyłem do zdrowych prawideł, jeżeli ukochanej ojczyzny mojej rozszerzałem sławę, wam wszystkim przynosiłem pożytki i sobie niejaką chwałę, jeżeli to, czym jestem winienem nauce, słuszną jest, abym i was zachęcał do postępowania tym torem, którym sam postępowałem.

Gdybym posiadał skarb tak bogaty, którymbym wszystkich was mógł ubogacić, ubogaciłbym. Lecz gdy dobre dzieci wychowanie, pożądańszem, trwalszem jest nad bogactwa, błogosławieństwa otwieram wam źródło, w tej to założonej Aka-

demii, w której synowie wasi mądrości naukę czerpać będą. Bodajby wychodzili z niej pożyteczni Polszcze obywatele.

Tak jak rolnik staranny nie bez wyboru rzuca w ziemię nasienie, lecz i owszem wybiera je, co lepsze i najwięcej obiecujące plonu, tak baczny nauczyciel, powierzonej sobie młodzieży, te wykłada nauki, które nie powierzchownie okrasza, lecz prawdziwą mądrość, cnotliwe prawidła, powinność w pomyślności tylko Rzeczypospolitej szukania dobra własnego, w młodych umysłach na resztę życia zaszczepia.

Nienawidzę tych nauczycieli, co nieużytecznemi spekulacyjnemi naukami młódź zaprzątają, której zamiast prawdziwego oświecenia, zapędzają się w niezgłębione rozumem ludzkim przeparcie, nie rozszerzają ale tłumią oświatę i prawdę.

(Zbiór pamiętników o dawnej Polszcze J. U. Niemcewicza).

Pospieszny pociąg w przyszłości.

Baczność! — zawołał mój przewodnik. — Schody!

Zeszedłszy ze schodów, weszliśmy do podłużnej sali, jasno oświetlonej mnóstwem elektrycznych lamp, z olśniewającemi reflektorami. W sali panowała głęboka, uroczysta cisza. Nigdzie żywego ducha. Gdzie jestem? Zkąd się tu wziąłem? Kto jest mój tajemniczy towarzysz? Zadawałem sobie te pytania, ale nie mogłem na nie znaleźć odpowiedzi.

Szliśmy ciemnemi korytarzami, wchodziliśmy na schody, przechodzili z jednej sali do drugiej przez metalowe drzwi, które ciężko zamykały się za nami.

— Pewnie się pan zastanawiasz, w czyje ręce się dostałeś — nieprawdaż panie Verne? — prze-



Józef Brandt. Przygoda w drodze.

mówił mój przewodnik. — Pozwól pan, że mu się przedstawię: jestem pułkownik Pierce.

— Bardzo mi przyjemnie. Ale gdzie jesteśmy?

— Gdzie? Jesteśmy w Bostonie, w Ameryce, na stacyi.

— Na stacyi? Na jakiej stacyi?

— Na stacyi linii Boston-Liverpool, towarzystwa pneumatycznych kolei.

I pułkownik wskazał dwa wielkie, obok siebie położone żelazne cylindry, których otwory, mające około półtora metra średnicy, podobne były do dwóch małych tunelów. Przyglądałem się ze zdziwieniem tym rurom, które zapuszczone były w gruby mur.

Nagle błysnęła mi myśl...

Niedawno temu czytałem w amerykańskich dziennikach, że jakiś pułkownik Pierce zawiadomił o wynalazku przez siebie dokonanym, nowego rodzaju połączenia między nowym a starym światem. Wynalazca powziął śmiały zamiar, żeby Europę z Ameryką połączyć dwoma podmorskiemi tunelami. Tego więc pana Pierce miałem teraz przed sobą! W pamięci stanęły mi wszystkie szczegóły artykułu i uderzyły mnie niesłychane cyfry, odnoszące się do owego projektu. Milion sześćkroćstotysięcy metrów kwadratowych stali, ogólnej wagi trzynastu milionów tonn, dwa tysiące statków, z których każdy o pojemności dwóch tysięcy tonn — a które musiały odbyć trzydzieści trzy razy podróż między Europą i Ameryką, dla przeniesienia materyałów na dwa główne statki, stojące przy amerykańskiem i angielskiem wybrzeżu. Na statkach tych umieszczone były końce zakładanych żelaznych tunelów. Tunele składały się z ześrubowanych części, długich po trzy metry, a na wierzchu pokryte potrójną stalową siatką i owinięte w oponę z nieprzepuszczalnego, gumowego materyału.

Do tych olbrzymich tunelów miał wjechać cały rząd wagonów, pod sztucznym naporem powietrza, jak w pocztowych rurach. W porównaniu z wagonami teraźniejszej kolei, postęp był ogromny. Największą zaletą było zupełne usunięcie męczącego trzęsienia, a cena jazdy — bajecznie niska. Pod względem szybkości nowy wynalazek był niedościgniony. Doskonałość urządzeń umożliwiała przebycie tysiąca sześćdziesięciu kilometrów w ciągu godziny...

Wszystko to przypomniało mi się i stanęło przed oczyma. A więc ten nadzwyczajny, graniczący z nieprawdopodobieństwem wynalazek, stał się rzeczywistością! Miałem przed sobą obiedwie rury tunelowe. Mimo to, trudno mi było uwierzyć w to, co widziałem. Choćby nawet prawdą było ukończenie tunelów, nie mogłem przypuścić, ażeby ludzie byli w stanie przebyć w nich niesłychaną przestrzeń, dzielącą Europę od Ameryki. Przedewszystkiem wydało mi się niemożliwością wywołanie prądu powietrza o takiej sile i długotrwałości.

Wszystkie te wątpliwości przedstawiłem bez ogródek towarzyszowi memu, pułkownikowi Pierce.

— O! proszę pana — odrzekł — nic nad to łatwiejszego. Mamy dostateczną liczbę olbrzymich miechów, podobnych do miechów używanych w hutach żelaznych. Za ich pomocą powietrze — jeśli mogę się tak wyrazić — płynie z nieograniczoną, niesłychaną siłą; a pchany tym huraganem z niezmierną szybkością pociąg, przebiegnie w ciągu dwóch godzin i minut czterdziestu, cztery tysiące mil przestrzeni, między Bostonem a Liverpoolem, pędem kuli armatniej.

— W ciągu dwóch godzin i czterdziestu minut? — powtórzyłem zdumiony.

— Tak — ani mniej, ani więcej. A jakie nieobliczalne następstwa mieć będzie ta nieprawdopodobna szybkość! W Liverpoolu różnica czasu wynosi cztery godziny minut czterdzieści: podróżny, wyjeżdżający o dziesiątej z Bostonu, przybędzie do Liverpoolu popołudniu o trzeciej minut czterdzieści pięć: komuż dotąd udało się tak prędko dzień przeżyć? A z drugiej strony, ten kto wyjedzie z Liverpoolu w południe, przybędzie do Bostonu o dziewiątej minut trzydzieści cztery przed południem, więc tak, jak gdyby nie stracił wcale czasu na podróż, i pozostaje mu w zysku półtrzeciej godziny do południowego posiłku, to jest do tej pory dnia, o której wyjechał z Liverpoolu. Jeżeli to nie jest najosobliwsze ze wszystkiego co się dotąd działo na świecie, to ja nie jestem Pierce!

Nie wiedziałem już co myśleć. Czy mam do czynienia z obłąkanym, lub też czy mam wierzyć owym bajecznie brzmiącym wywodom, choćby mój rozsądek im się opierał.

— Zgoda! — wyrzekłem po chwili. Przypuśćmy, że tak jest rzeczywiście, jak pan mówisz, że nasi podróżni puszczą się w tę szaloną podróż, że pojadą z tą piekielną szybkością o jakiej pan wspominałeś: ale w jakiż sposób da się zmniejszyć rozpęd — w jaki sposób będzie się pociąg hamował, w jaki sposób dadzą się zatrzymać wagony? Przy takiej szybkości, wszystko może rozbić się na drobne kawałki.

— Bynajmniej! — odrzekł pułkownik, wzruszając pobłażliwie ramionami. W naszych tune-

lach płyną bezustannie prądy powietrza w przeciwnych kierunkach. Kiedy pociąg wyrusza z Bostonu, zawiadamia się telegraficznie w Liverpoolu urzędników, którzy przedsiębiorą odpowiednie środki do zmniejszenia rozpędu nadchodzącego pociągu, ażeby go można było zatrzymać. Wystarcza do tego otwarcie olbrzymiego wentylatora, którym wpływa prąd powietrza z sąsiedniego tunelu, idący w przeciwnym kierunku, a ten płynąc na spotkanie nadchodzącego pociągu, działa jak hamulec, i zatrzymuje wagon na miejscu. Ale nie będę pana dłużej nudził objaśnieniami, bo najlepiej przekonać się można praktycznie.

I nie czekając na moją odpowiedź, ujął za niklową antabę, drzwiczki usunęły się na bok a przez otwór ujrzałem wspaniale urządzony, oświetlony elektrycznością salonowy wagon z długiemi rzędami małych, na dwie osoby kanapek.

Oto nasz wagon — odezwał się pułkownik wsiadając. Proszę pana za mną.

Wsiadłem, a pułkownik zamknął drzwiczki.

. . . Obejrzałem się naokoło. Wagon miał kształt długiego cylindra. Na obu jego końcach umieszczone były przyrządy do zmiany i odświeżania powietrza. Świeże powietrze wpływało do wnętrza od przedniej strony; zepsute odpływało z wagonu drugim wentylatorem. Regulatory miarkowały dopływ, stosownie do szybkości obrotu.

Zacząłem wyglądać z upragnieniem tej czarodziejskiej podróży i zapytałem:

— Kiedyż ruszymy?

Pułkownik popatrzył na mnie zagadkowo.

— Kiedy ruszymy? Ależ, mój dobry panie, my już oddawna jedziemy!

— Jedziemy? I tak spokojnie, że nawet nie zauważyliśmy tego?

Pułkownik skinął głową.

— Tak, i to jest właśnie niezrównane ulepszenie w porównaniu z dawnemi, niewygodnemi i męczącemi podróżami koleją żelazną.

Nadsłuchiwałem bacznie, pragnąc pochwycić jakikolwiek szmer. Jeżeli pułkownik mówił prawdę,



Żyrondziści prowadzeni na szafot.

musieliśmy teraz, w tej szalonej podróży, pędzić kędyś w głębi — pod falami Atlantyku...

A jednak nie było słychać nic, oprócz głuchego, cichego szumu, który, jak się domyślałem, wydawał nasz pędzący pociąg. Zdumienie moje wzrastało z każdą chwilą: siedziałem nieruchomo, zamyślony i wpatrzony przed siebie. Upłynęła może godzina, gdy nagle zbudziło mnie z zadumy uczucie zimna w czole i na twarzy. Czułem coraz większy chłód i wilgoć. Co to być mogło? Dlaczego moja twarz była cała mokra? Czy może powłoka na tunelu uszkodziła się, i woda morska zaczęła przedostawać się kroplami do wnętrza przez otwory w stalowej ścianie?

Ogarnęła mnie niewymowna trwoga i uczułem, że oprócz kropli wody padających na twarz, pot wystąpił mi na czoło. Uczucie zimna stawało się coraz dotkliwsze, strach coraz silniejszy: chciałem zawołać na pułkownika Pierce, prosić go...

— Mężu! Juliuszu! To ty jeszcze tam siedzisz? Przecież deszcz pada! — zawołała z oddali moja żona.

Obudziłem się. Siedziałem spokojnie w moim zacisznym ogrodzie, a orzeźwiający majowy deszcz przerwał mi sen i rozwiał senne marzenie. Na stole przedemną leżała paczka amerykańskich gazet; obok mnie na ziemi spoczywał numer, w którym z czysto amerykańskiem zacięciem, rozpisywano się o nowym projekcie połączenia z Europą. Sen ogarnął mnie podczas czytania, a duch mój w sennem marzeniu rozwinął dalej treść artykułu. Ale zdjęła mnie trwoga, że pomysł pułkownika Pierce za mojego życia nie wyjdzie z dziedziny sennych widziadeł...

Dzwonek.

— Pieknie prosim posłuchać. Od dziadów, pradziadów, od niepamiętnych czasów dzwonek ten był we wsi, a pomocny od chmur i gradów, jako widzicie...

Dzwonią u nas od zwiesny, dopoki nie pozbierają z pola, pieknie prosim posłuchać, dzwonią czy rano, czy w nocy, choćby i o północy, gdy chmura nadejdzie dzwonek nie przestanie, to i widzicie bokami, stronami przechodzą grady, wody, gdzie jakie nieszczęścia, a u nas Poniezus da zbiory piekne.

— Jeszczem był tyli chłopak, co wasz ten mały, a już pamiętam jak ojcowie nakazowali: — Gdzie który będzie, a dzwonek usłyszy, niech się przeżegna, bo to dzwonek cudowny i dla naszej wsi poświęcany.

— Dopokąd głos dzwonka doleci, dopotąd żadna chmura nic nie zrobi, po te granice, po które dzwonek gra, to jak zapamiętają najstarsi ludzie, ani gradu ani zalewu nie bywało.

— Pieknie prosim nie strachać się choć od Skomielny taka czarna chmura wali się. Ona na granicy stanie, obaczycie. Dzwonek siedem razy, przez siedmiu biskupów poświęcany, siedem razy na Świętej Kalwaryi był noszony, dzwonek z srebra ulany, a na to srebro pradziadowie nasi siedem lat zbierali talary z Matką Boską...

Od ciemnej ściany lasu świerkowego odbija się echem łagodnem muzyka dzwonka siedem razy poświęcanego... Od zachodniej strony idzie straszna, ponura, fioletowo-szara chmura i błyska ognistymi liniami skier przelatujących nagle i huczy gromami, od których drżą góry i jęcząc echem odpowiadają.

Siedzimy na pniu drzewa obalonego kiedyś wichurą. Widnokrąg w około nas zaciemnia się coraz bardziej. Lubonia szczyt już zginął pod płaszczem chmur, już szczyty wyniosłych świerków ukryte w mgle ołowianego koloru... a dzwonek gra i gra...

Tam na prawo, nad samym brzegiem Raby, kapliczka uboga ukryta w wieńcu drzew, tam na wieżyczce dzwonka serce uderza raz po raz i woła jakimś płaczem serdecznym na chmury potężne:

— Wstrzymajcie się! wstrzymajcie się!...

Stary góral zatrzymał nas strwożonych i uspokaja.

— Niech się nie boją... niech się nie trapią. My tu na wsi nawykli do chmur i grzmotów, tu od gór zawsze straszny łomot za chmurami idzie, tu od Skomołnej zawsze taki wiater niedobry przynosi pioruny, ale jak mam już sześć osiemdziesiąt roków tak nie pamiętam, ażeby jeden raz grad u nas szkody zrobił, albo piorun nieszczęście przyniósł.

— Gdzię nam już ludzie nie zazdroszczą tego dzwonka?... Kiela razy już nie przyjeżdżali z tej, albo z tamtej wsi, a prosili, pożyczcie!.. niech tylko jeden raz głos tego dzwonka nad naszymi polami przeleci...

— A!.. nie wolno pożyczać! Jużby żadnej mocy ten dzwonek nie miał, jakby my jeden raz pożyczyli. Tak samo i nie wolno umarłemu dzwonić tym dzwonkiem. Jakby raz umarłemu zadzwonili, to potem by syćkie grady i pioruny na naszą wieś poszły.



Polowanie na lwa.

— Niech się nie śmieją!.. Nie na żarty to ja mówię. W tamtej wsi wiedzą, za tą górą hen na prawo, za tym lasem co przecięty przez połowę tam mieli także taki dzwonek siedem razy poświęcany, także miał moc na chmury, ale raz zadzwonili umarłemu i potem jak przyszła chmura pół wsi zatopiła, czworo ludzi od piorunu zginęło...

— W tamtej wsi dzwonek jest, ale nie wolno na nim dzwonić. Dopiero jak ani jednego z tych ludzi nie będzie, co słyszeli dzwonienie umarłemu, dopiorok wtedy dzwonek na chmury będzie pomocny. — Ano! niech się nie dziwujom... co prawo to prawo...

— Niech się nie boją!.. tak w lesie gałęzie trzeszczą, bo burza na nich idzie od chmury, o!.. my nawykli do tego! Jeszcze jak pozatem, tak bywało w lesie, gdy burza nadejdzie taki trzask i szum, aż zdaje się ziemia się trzęsie i wszystko się zawali, ale dopókąd dzwonek słychać nic się nie stanie.

— Czy nie radziby po wszystkich wsiach mieć takie dzwonki? O Jezu Miłosierny!.. Coby oni nie zrobili, aby mieli, nie łatwo. Z siedmiu kościołów srebrne kielichy poszły na stopienie, a dali po kielichu ci księża, co z tej wsi byli rodem. Widzicie — szkoły nijakiej tu nie było, ludzie nie znali ani pisanego, ani drukowanego, a siedmiu księży już ztąd Bogu służyło... tak rodzice starali się o dzieci. Dzisiaj inaczej! Do Ameryki by ino syćko szło, na zarobek, o Chwałę Bożą nie dbają.. dzisiaj na taki dzwonek nikt ofiary nie przyniesie.

Na falach rzeki poczęły się pokazywać szumy mętne i żółte... więc góral rzecze:

— Widzicie! Już tam w Skomielnej zlały grady i deszcze, już woda się mąci.. za niedługi czas będzie spokój i pogoda. Po naszą granicę chmura stanęła i nie pójdzie. Deszcz trochę przekropi, ale to na pożytek.

Istotnie drobne krople zaczęły się sączyć — wicher się uciszył, groza ponura minęła. A dzwonek gra i gra.

Usiedliśmy pod chatą. Koloryt nieba z fioletowo-szarego stawał się więcej siny wierzchołki drzew stały w mgle coraz bielszej, szum rzeki zaś wzmacniał się coraz więcej.

— Któż tak dzwoni ciągle? pytam po chwili.

— Jest tu już jeden do tego przeznaczony, z dziada pradziada po familii to idzie na wnuki i nikt tego dzwonka dotknąć się nie może tylko ten co obrany. Mieszka zaraz przy kapliczce. Dzień i noc musi być na straży.

— Kto mu płaci za to?.. A innej zapłaty nie ma tylko słomę dostaje na jesień. Każdy, co ma bodaj tylko stajanko pola we wsi musi mu dać snopek słomy, a kto ma więcej, więcej da. Za tę słomę on dzwoni, ale jakby wziął pieniądz, albo co innego, już by moc dzwonienia przepadła...

. . . .

Ilekroć potem we wsi słyszałam muzykę owego dzwonka siedemkroć poświęcanego tylekroć zdawało mi się, iż jestem pod skrzydłem opieki chroniącej mię istotnie od gromów i burz... I pytałam się niejeden raz sama siebie, dlaczego nie umiemy na granicach naszych pól i prac mozolnych ustawiać takiej straży silnej przed którąby wstrzymywały się chmury i gromy?...

A dzwonek gra i gra... Pieśń jego płynie nad góry i lasy, nad pola chaty... pieśń ochronicielka i opiekunka.. pieśń wiary ludu naszego.

Jadwiga S.

Złote ziarna.

(Z pism Słowackiego.)

Na tych bagnach, gdzie potrzeba szczudeł
Jam wtenczas bujał na młodości piórach!

— — — Czasami myśl w eterze pływa
Przez piękne bardzo przelatując śnicia,
Lecz później pismo, druk, tęczę obrywa
Z kwiatów.

Marzenia się stają czynem i życiem,
Czyny się stają piorunem odwagi!

Świat przed tobą w nieskończoność rośnie
W jasnej życia wiośnie —

Młodość wszystko stroi w lśniące farby,
Nigdy się małych, nie spodziewa lichot —

— — — — — kto ma wolę,
Ten wszystko pokona.

Młodości! każ się tej łabędziej marze
Z ognia i złota unosić po świecie,
Niech szumi wino w twej platońskiej czarze,
Na głowie niechaj będzie wonne kwiecie,
Aablisko ślubów wysokie ołtarze,
Tam ślubuj przyszłość!



Zalecanki.

TO I OWO.

Kto powalił Napoleona I.

Dzienniki angielskie z okoliczności nadchodzącej stuletniej rocznicy spalenia Moskwy, zastanawiają się nad tem pytaniem i powiadają, że dokonała tego nie Rosya, lecz Anglia. Tego samego zdania jest pisarz rosyjski p. Wojeński, porządkujący w Cesarskiem towarzystwie historycznem dokumenty, odnoszące się do tej epoki. Zdaniem ich wszystkich, rok 1812 był tylko jedną z faz olbrzymiej walki, jaką toczyła z Napoleonem Anglia. Do tej walki Rosya została wciągnięta wbrew woli Aleksandra I, którego po prostu czarował Napoleon, ale gdy skutkiem polityki angielskiej tego ostatniego, rosyjska szlachta nie mogła wysyłać swego zboża do Anglii a spro-

wadzać z niej przedmiotów zbytku, które się stały dla niej niezbędnemi, zaczęła wywierać nacisk na rząd i zniewoliła go do tej wojny.

Nie jestem historykiem i nie zagłębiałem się w aktach, dotyczących tej epoki, ale zdaje mi się, że tak było rzeczywiście. Wszystkie państwa ówczesnej Europy nie wyłączając Rosyi były w owym czasie niczem innem jak pionkami na szachownicy, któremi poruszała ręka Anglii. Ona to i ona jedna nieubłagana w swojej nienawiści ku Napoleonowi nie szukała z nim ani na chwilę związku, ale postanowiwszy go zgnieść, korzystała z każdej sposobności, aby swój zamiar doprowadzić do skutku. I gdy w Erfurcie naprzykład prawie wszyscy monarchowie ówczesnej Europy, mniej lub więcej wyraźnie składali mu hołdy, bawiąc się z nim i rozkoszując dramatyczną grą Talmy, ona, usadowiona na swojej wyspie, śledziła jego kroki, dopatrując się jego słabych stron. Jej więc jest zasługą, że Napoleon zmieciony został z powierzchni ziemi, zwłaszcza że wypędzony z Rosyi, nie przestał on być niebezpiecznym dla pokoju świata i że, gdyby pod Waterloo nie był go Wellington pokonał, kto wie czy nie zatrząsłby on nim tak jeszcze, jak trząsł zanim pod Moskwę pociągnął. Jeśli więc w roku 1912 obchodzić będą w Moskwie stuletnią rocznicę ocalenia Europy od wielkiego Korsykańczyka, to na tej uroczystości dla Anglii fotel honorowy zachowany być powiniem.

Niebezpieczne drzewo.

Znany przyrodnik norweski i archeolog, Karol Lumholz, odkrył niedawno bardzo niebezpieczne drzewo, które nazwał „Palo bravo“. Rośnie ono na górach Meksyku „Sierra Colienta“; sok, wypływający z niego, jest tak jadowity, że najmniejsze dotknięcie się drzewa wywołuje silną opuchlinę. Mieszkańcy zapewniają, że ludzi, którzy spoczywali w cieniu tego drzewa, a nawet w pewnej od niego odległości, znajdowano nazajutrz w stanie nieprzytomnym, z twarzą i ciałem opuchniętem. Na szczęście jest środek zapobiegający nieuniknionej i męczącej śmierci, wywołanej jadem Palo. Leczenie polega na tem, że ciało chorego natychmiast oblepiają klajstrem z krochmalu ryżowego i w takim stanie chory przez tydzień powinien leżeć w łóżku. Godną uwagi jest ta okoliczność, że nie wszyscy ludzie ulegają w jednakim stopniu zgubnemu wpływowi Palo; podczas gdy jedni natychmiast puchną i pokrywają się niebezpiecznemi ranami, inni bezkarnie przepędzali całe noce w cieniu tego drzewa. Służący Lumholza, Europejczyk, nie wiedząc o właściwości „Palo bravo“, zebrał leżące pod niem suche gałęzie i rozpalił ogień, żeby dymem rozpędzić owady; ale jeszcze ognisko nie rozgorzało, gdy twarz biedaka strasznie spuchła.

Szybkość psów.

Jeden z badaczy angielskich twierdzi, że psy są najszybszymi wyścigowcami. Foxterrier biegać może godzinami za powozem lub wierzchowcem pana swego, nie okazując zmęczenia. Jedynie niektóre gatunki, zwyrodniałe przez złą hodowlę utraciły tę zdolność, którą posiadają nawet psy dzikie. Wilk może gonić 80 — 100 kilometrów przez noc, będąc do tego zmuszony, lub szukający zdobyczy. W okolicach Francyi, bogatych jeszcze w wilki, nikt nie dogoni starego wilka. Niezwykłą szybkością odznaczają się także lisy podbiegunowe. Nansen widział je w oddaleniu 100 kilometrów od wysp Nowosyberyjskich; jest prawdopodobieństwo, że lisy te dotarły do bieguna.

Psy eskimosów i syberyjskie, podobniejsze do wilków niż nasze, robią na lodowcach 75 kilometrów przez 5 godzin. Podróżnik de Hays przebył w psim zaprzęgu 11 kilometrów przez 28 minut w jedną stronę, a w drugą przez 33 m. Jest to szybkość, do której nie są zdolne tamtejsze renifery. Wypadki to jednak rzadkie, bo lody biegunowe są pełne szczelin, utrudniających szybki bieg. Nasze kundle i większość psów gończych osiągają szybkość 10 do 15 metrów na sekundę.

Wyżły angielskie pędzą z szybkością 25—30 kilometrów na godzinę, potrafią zaś biedz bez przerwy 2—3 godziny. Lisogony (fox houndy) odznaczają się również nadzwyczajną chyżością i wytrwałością. Pewna suka tej rasy dotrzymała biegu wyścigowcom pełnej krwi, robiąc bez wysiłku 4 mile ang. przez 6 min. i pół sek., czyli po 18 prawie metrów na sekundę.

Charty wreszcie, będące niewątpliwie najszybszemi czworonogami, na punkcie szybkości dorównają gołębiom pocztowym. Angielskie charty, ułożone umyślnie do wyścigów, robią w pełnym galopie 18 do 23 metrów na sekundę, podczas gdy koń wyścigowy nigdy nie przekracza szybkości 19 metrów na sekundę. Najwyższa szybkość zająca wynosi 18 metrów na sekundę.



Wśród murzynów.

Wartość Londynu.

Wartość pieniężna Londynu, jak objaśnia jedno z pism angielskich, jest tak wielka, że jeżeliby stolicę Wielkiej Brytanii kiedy chciano sprzedać, nie wystarczyłoby pieniędzy całego świata na zakupno jej wraz ze wszystkiemi budowlami i monumentami. Mansion-House, miejsce pobytu lorda majora kosztuje około 20 milionów franków. Znajdująca się w pobliżu giełda londyńska warta jest wraz z placem, na którym stoi, około 48 milionów.

Ogromny budynek angielskiego banku oceniają na 200 milionów franków, lecz w kasach jego znajduje się 500 milionów złota, a więc ma wartości 700 milionów. Dom centralnego zarządu pocztowego, zwracający na siebie uwagę pięknością swej architektury, ma wartości 50 milionów; budynek sądowy, w całem znaczeniu monumentalny, 75 milionów.

W angielskim Towerze rzeczy wartościowych i brylantów znajduje się za 35 milionów. Katedra św. Pawła, Opactwo Westminsterskie i budynek parlamentu swą wartością przewyższają miliard. Następnie w Londynie znajdują się ogromne muzea, na których budowę wydano wielkie sumy.

Z publicznych miejsc godna zaznaczenia jest sala koncertowa Alberta, którą najskrupulatniejsi znawcy ocenili na 5 milionów; królewskie akwaryum ocenione jest na 6 milionów; pałac kryształowy na 37 milionów, a Hyde park kosztuje najmniej 200 milionów. Niektóre ulice ze wspanialszemi gmachami kosztowały miliony franków, a jakie bajeczne sumy pochłonęła budowa mostów przez Tamizę, trudno nawet określić.

Brzegi granitowe Tamizy kosztowały do 650 milionów. Budowa tramwajów elektrycznych kosztowała do 300 milionów, a kanalizacya 100 milionów. Podług średniej oceny 770,000 domów stolicy angielskiej, należących do osób prywatnych, przedstawia wartość 35 miliardów.

Wogóle wartość nieruchomości w Londynie według tych obliczeń, przewyższa sumę 100 miliardów.

Najdroższa kolej w Europie.

„Westminster Review“ powiada, że najdroższą koleją w Europie jest ta, która łączy Gastein w Salcburgu ze stacyą Spittal nad Drawą. Kolej ta długa jest tylko na 30 mil angielskich a kosztuje 250 milionów koron. Takim więc sposobem koszt jednej mili angielskiej wynosi na niej przeszło 7 milionów koron. Idzie ona zygzakowato pod górę i przebywa tunel mający 5 i pół mil długości, a dzięki jej podróż z Monachium do Tryestu sprowadzona została do 12 godzin.

Skracamy przestrzenie, udogodniamy sobie życie, jemy, mieszkamy, podróżujemy lepiej od naszych dziadów i ojców, ale zaprzeczając jedni drugim jednocześnie prawa do istnienia na świecie i czyhając jedni na drugich zagładę, czy jesteśmy też od nich szczęśliwszymi? Zaiste gdyby współcześni Goethemu i Szyllerowi powstali z grobów, nie wiem czy rówieśnikom Bismarka powinszowaliby tego, że przyszli w Niemczech na świat od nich później.

Koszt jednej wojny.

„Review of Reviews“ w ostatnim listopadowym zeszycie opowiada, ile kosztowała Anglię wojna z Boerami. Jak wiadomo, krwawa ta wojna trwała około trzech lat, zaczęła się bowiem w dniu 11 października 1899 roku a skończyła w dniu 30 maja 1902 r. niedługo po wstąpieniu na tron dzisiejszego króla Edwarda. Przez ten czas Anglia wydała na tę wojnę dwa miliardy 200 milionów rubli, a z 448 tysięcy ludzi, których do Afryki wysłała, straciła przeszło siedemdziesiąt pięć tysięcy. Z tych 9000 bez mała padło na polach walk, 13 tysięcy zmarło z ran, pozostała zaś reszta powróciła kalekami niezdolnymi do pracy do domu.

Kiedy wojna ta wybuchła, zawiadował ministeryum wojny margrabia Lansdowne. Otóż dziennik ten pisze, że Anglia nie poniosłaby tak olbrzymich strat, gdyby na czele tego ministeryum stał był wtedy kto inny. Ale jeżeli wierzyć Steadowi, margrabia był człowiekiem chwiejnym i przeceniając własne siły, niedoceniał sił przeciwnika. Będąc jednym z tych, którzy pchali kraj jego do południowej Afryki, łudzić się on miał nadzieją, że wyprawa do ziemi Boerów będzie wojenną przechadzką i że wolne Rzeczypospolite zaludnione Holendrami, dadzą się schołdować kosztem jakich 100 milionów rubli. Nie przygotował się więc do wojny jak należy, lekceważył ją gdy wybuchła, i tylko dzięki olbrzymiemu naprężeniu sił Wielkiej Brytanii udało mu się zakończyć ją z powodzeniem. Ale zmarnował bogactw tyle, wytoczył rzeki krwi. Z wielką też goryczą rozpisuje się o nim Stead i lubo nie odmawia mu wielu przymiotów, cechujących męża stanu, na ogół przed-

stawia go jako zimnego egoistę, zdolnego do poświęcenia wszystkich dla swoich ambicyi i przywidzeń.

Nawiasowo dodaję, że Lansdowne jest jednym z najbogatszych ludzi w Anglii, a jego posiadłości w Irlandyi należą do największych. Żyjąc z ziemi irlandzkiej, nie zalicza się on jednak do jej przyjaciół i kiedy Gladstone zamierzał nadać krajowi temu szeroki samorząd, on między innymi wystąpił z najenergiczniejszą opozycyą. Przez lekkomyślność więc i zarozumiałość podczas wojny boerskiej stał się sprawcą nieszczęść dziesiątków tysięcy ludzi, dla własnego egoistycznego interesu nie dopuścił do tego dawniej, aby sprawiedliwość wymierzona przez Anglię została narodowi irlandzkiemu, gdyż tym sposobem mógłby ponieść uszczerbek w materyalnych swoich interesach. Takto ciemne duchy znaczą byt swój na ziemi nie tem co jest ich błogosławieństwem i chwałą, ale tem, co ściąga na nie złorzeczenia milionów.

Największe lasy na ziemi.

Największy las w północnej Ameryce sięga przez prowincye Quebeck i Ontario na północ rzeki Lorenzo, przedłuża się na północ aż do Hudsonu i do półwyspu Labrador, a ma 2,750 kilom. długości i 1,600 kilom. szerokości. W południowej Ameryce znajdują się także wielkie lasy. W dolinie Amazońskiej zajmują przestrzeń 3000 kilom. długości i 2,000 kilom. szerokości. Badacze Afryki opowiadają o ogromnych lasach, które sięgają od doliny Kongo, aż do źródeł Nilu i Zambesi. Długość tychże nie można było dotychczas oszacować, ale szerokość, mierzona od północy na południ, wynosi 4,800 kilom. Południowa Syberya posiada ogromny pas lasu od rzeki Ob od zachodu aż do doliny Indygirki na wschód i mieści w sobie rzeki Olenek, Lena i Tama. Las ten zajmuje przestrzeń 12 kilometrów. Te ogromne przestrzenie są pokryte po większej części drzewami iglicowemi. Tysiące kwadratowych kilometrów nie zostały dotychczas zbadane. Drzewa dochodzą do 60 metrów wysokości i stoją tak gęsto, że trudno się przecisnąć.

Z życia hr. Tołstoja.

O hr. Leonie Tołstoju dzienniki zamieszczają następującą anegdotę: Hrabia na jednej z ulic w Moskwie ujrzał stójkowego, niezbyt delikatnie obchodzącego się z pijanych chłopem, którego prowadził do cyrkułu. Oburzony hrabia zatrzymał stójkowego i zawiązała się między niemi następująca rozmowa:

— Umiesz ty czytać?

— Umiem.

— A Ewangelię czytałeś?

— Czytałem.

— No, to powinieneś wiedzieć, że bliźniego swego znieważać nie wolno.

Stójkowy popatrzał na hrabiego i z kolei zapytał.

— A ty umiesz czytać?

— Umiem.

— A instrukcyę dla stójkowych czytałeś?

— Nie.

— No, to najpierw ją przeczytaj, a potem będziesz rozprawiał.

Uzupełnione przysłowia.

Gdzie kucharek sześć — tam jest restauracya z margaryną.

* * *

Kto rano wstaje, ten cały dzień jest śpiący.

* * *

Stara miłość nie rdzewieje, ale za długo odpoczywa.

* * *

Powiedz ty mnie, z kim przestajesz, a ja ci powiem, kiedy pójdziesz do kryminału.

* * *

Uderz o stół, a spuchnie ci pięść.

* * *

Kto na ciebie kamieniem, ty na niego policyantem.

Nie wszystko jest złotem, co się świeci — np. dziura w łokciu.

* * *

Lepszy jeden wróbel w garści, niż trzy lata w kryminale.

* * *

Dopóty dzban wodę nosi, dopóki nie urządzą wodociągów.

DLA DZIECI.

Do dzieci.

Hej! wy małe swywolniki!
Do książeczki, do książeczki!
Oto niosę wam wierszyki,
I obrazki i bajeczki!

Tu literka po literce,
Umysł w główce wam rozświeci,
Miłość bratnią wszczepi w serce,
I cel zacny wskaże — dzieci!

Lecz niech każde z was pamięta,
Że nie próżno główkę trudzi,
Że ta ojców ziemia święta,
Pożytecznych czeka ludzi!

Że nie tylko wciąż bojowo,
Nie przy szabli, nie przy zbroi,
Ale sercem, ale głową,
Przyjdzie służyć ziemi swojej!

A więc ucz się polska młodzi!
W pracy siły hartuj młode,
Może w tobie Bóg odrodzi
Dawną wielkość i swobodę!

W. Bełza

Ojczyzna.

Ojczyzną, dziecię, to bracia twoi,
Twoi ojcowie i twoje matki!
Dawni rycerze w skrzydlatej zbroi,
Dumne pałace i kmiece chatki!
Ojczyzną, dziecię, to łany twoje,
To groby przodków okryte żałobą,
Rodzinne gaje łąki i zdroje,
I te niebiosa, co lśnią nad tobą!
Ojczyzną twoją, chłopię Sarmackie:
To pieśń wolności i łzy tułackie!

W. Bełza.

Nauka czytania.

„Co ty czytasz, maleńka?
„Elementarz, mój panie."
„W szkole tego nie uczą,
„Zkąd znasz polskie czytanie?"
„A, mój panie, cóż znowu?
Bóg mi matkę dał przecie!
Ona, razem z pacierzem,
Uczy czytać swe dziecię.

Chociaż nieraz na polu
Od samego jest rana,
Zawsze znajdzie chwileczkę
Dla mnie matuś kochana.
Pokazuje literki,
Pieśń pobożną zaśpiewa,
Uczy kochać, co nasze:
Pola, łąki i drzewa.
A skąd wy to, mój panie,
Iż wy tego nie wiecie,
Że dziś w chatce najlichszej
Matka uczy swe dziecię?"

ZAGADKI.

Zgadnij, ile kto ma lat.

Jeżeli chcesz zgadnąć, ile kto ma lat, każ mu napisać na kartce miesiąc jego urodzenia liczbą (np. styczeń = 1, luty = 2, grudzień = 12) ty sam na kartkę nie patrz, bo co na niej napisane, to cię mało obchodzi; liczbę tę każ pomnożyć przez 1, następnie dodać 5, rezultat pomnożyć przez 50, potem dodać lata osoby, której wiek masz odgadnąć, a więc piszącej (powinna ona je dodać, aby nikt nie widział ile), od sumy tej odciągnąć 365, nakoniec dodać 115. W powstałej stąd liczbie będą oznaczały dwie po prawej stro- lata, pozostałe po lewej stronie miesiąc.

Przykład: Ktoś rodził się w maju i ma lat 32.

Maj jest piątym miesiącem, a więc oznaczamy go $5 \times 2 = 10$; $+ 5 = 15$; $\times 50 = 750$; $+ 32 = 782$; $- 365 = 417$; $+ 115 = 532$.

5/32 = 32 lata 5-ty miesiąc, czyli maj.

Święta Urszula perły rozsnuła.
Miesiąc wiedział, nie powiedział,
Słońce wstało, pozbierało.

Rosa.

Siedzi panna w murze,
W czerwonym kapturze.

Cegła.

DZIAŁ POWIEŚCIOWY

TUŁACZE.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

PRZEZ

B. BOLESŁAWITĘ.

(Ciąg dalszy.)

W starych gniazdach lęgły się bękarty francuskie co szczebiotały, bo ryknąć nie umiały i tańcować się uczyły, nie umierać.

Na bezdzietnych gniazdach sadzono przybłędów, na stolice biskupie brano ludzi, co w Boga nie wierzyli, dwór stał się salą balową, sejm więzieniem z bagnetami u wrót, życie stypą pogrzebową.

Gdy po wsiach żelazna szlachta do kościoła zbiegła na sejmik, co był dawniej z rady i natchnienia Ducha Bożego, — siekli się kortezanie z Polaki staremi jako nieprzyjaciele i krwawili domy Boże, a Moskal pilnował i śmiał się.

Wreszcie poszedł głos jeden po dworach i po starych zamkach, na których rody dawne przetrwały. — Dopókiż pić będziemy wstyd i niewolę w domu własnym, a dźwigać kajdany! Policzyły się stare szablice i dłonie silne i serca pobożne, i rzekli: — Któż obroni ojczyznę, jeśli nie my?

I tak pod bagnetami Moskwy związała się ojczyzny obrona, pod hasłem i opieką Królowej nieba i ziemi a Polskiej Korony.

Znalazła hetmany i żołnierze i Ojca Marka, proroka i kapłana. Rozległa się pieśń konfederacka od granic przez kraj calutki. Kto serce miał to mu drgnęło, kto szablę miał, ostrzył, kto konia znalazł, siodłał, — i szli.

Ale Bóg wiedział jeden, na jak długie próby nas wskazywał.

Różnem szczęściem szło obrońcom, a widomie nieraz złe zwyciężało, bo była potrzeba próby łez i cierpienia.

Warszawa z królem galantem stroiła się i wdzięczyła; na polach żelazni ludzie z krzyżem na piersi, poczęli ten bój, który więcej niż cały wiek miał trwać nieustannie.

Nieraz wśród skrzypków i uśmiechów, jak grom cichy przyszła wieść od granic straszna, z ust do ust podawali ją sobie w tańcu dworacy, i lica bladły i ręce drżały, oglądali się tchórzliwie na okół, aż poseł Imperatorowej Jejmości powiedział im na ucho: — Nie bójcie się, Waszmość, jam tam posłał mołojca Kreczetnikowa. Imperatorowa miłosierna nie opuści swych wiernych.

Na rubieży w obozie razowy chleb z popiołem: w stolicy jedzono marcepany za moskiewskie pieniądze; tam brzmiała pieśń pobożna, tu niezbożne trele, tam umierano od kuli, tu z ran mi-

łosnych. Król kupował arcydzieła sztuki, a prochu żebrano u sąsiadów.

I coraz więcej twarzy się sromało, a kraj coraz to szerzej płynął i były chwile, że król się zadumywał, że dworacy bledli, że tchórze szeptali... ale ambasador zawsze upewniał, że Imperatorowa JMość nie opuści tej umiłowanej przez się Rzeczypospolitej...

Ale walka szła w przewłokę, a z polskiemi sercami, niestety! umrzeć na raz łatwo, długo wytrwać chyba cudem. Gdy jedni przystępowali, odstępowali drudzy, Imperatorowa JMość miała baczne oko, w Polsce u swego galanta była jak w domu rozgospodarowaną Królował w istocie ambasador, a król posłował tylko od Imperatorowej dobrodziejki do narodu.

Był to człowiek, którego nikt poczciwy zrozumieć nie mógł; młodość czy los rzezańcem go na sercu uczyniły, bo rozum miał, a woli mu brakło, bo miłości brakło i kameleonem czynił go strach i grzeczność.

Bywało, gdy stary a poczciwy syn ojczyzny przyszedł doń, we cztery oczy płakał z nim nad losem Polski i ściskał go i zdawał się całem sercem Polakiem, a gdy ten odszedł, a przybył stróż Imperatorowej JMości, król jak płakał przed tamtym, rozczulał się znowu, i spowiadał mu się nie ze swojej winy, wywnętrzając do dna.

Miał on godziny skruchy i dnie grzechu — czem był w istocie, dotąd nikt nie wie, anioł chyba w dniu sądu przeważyć potrafi co więcej zacięży.

Więc targali go jedni i drudzy, panował nad nim ten, co stał bliżej, i co go nie za cnotę trzymał, ale za wady i słabości jego.

Kiedy od granic przyszły słuchy o Krasińskich, o Pułaskich, król zadrżał, zapłakał (łzy miał łatwe) i poskarżył się Imperatorowej Jejmości. Tymczasem Sułtan zaopiekował się konfederatami.

Z różnem szło szczęściem przez lat kilka; z za granicy to dmuchano na ogień by go rozżarzyć, to zalewano, by zgasić, a król drżał, bo mu to utrapienie nawet spokojnie się zabawić w dobrem towarzystwie nie dawało

Z powodzeń i klęsk tkane dzieje już kilka imionami jaśniały; znano w narodzie Pułaskich, Krasińskich, Branickiego, Kossakowskiego, Sawę, a młodzież niecierpliwsza przekradała się różnemi drogami ku nim. Szczęście służyło różnie, Moskwy było jak plugawego robactwa, żołnierzy Bożych coraz mniej, bo król i ambasador pilne mieli oko; kto wyszedł do swoich, temu natychmiast palono dwór i niszczono wioski i żołdactwo się rozsiadało na krwawych gruzach, pijąc zdrowie opiekunki Rzeczypospolitej, Carowej Jejmości.

Przyszło ku temu, że coraz mnożyły się klęski, ludzie serca ze spuszczonemi głowy chodzili jako w dniach żałoby — co począć! Powtarzano słowa ks. Marka, który był zwiastował zwycięstwo, a potem prorokował — kary; albowiem ujrzał, że rycerze chrześciańscy mieli w sercach pogańską ambicyą i szatańską zazdrość ku sobie i przeoblekali się w ludzi pospolitych — posłańcami Bożemi dłużej być nie umiejąc.

W Skale milczano o wypadkach, zwłaszcza przed Karolem, któremu tajono co się działo. Dziad i ojciec tak się zdawali ostygli, iż chłopak nie wiedział co myśleli, ale zgadywał gdzie serce ich było. Przy nim ledwo się kto odezwał i uciął.

Było tak przecież, że na pierwszy odgłos o konfederacyi Adam i Jakób zeszli się u pułkownika nocą i zabrali co było grosza, potopili srebra, jejmość oddała stare klejnoty; razem to wszystko cicho a tajemnie posłano do Generalności — a przy modlitwach codziennych dołożono: Za uciśnioną ojczyznę i jej obrońców.

Przed Karolem jednak dziad zakąsywał wargi, ojciec milczał — choć Karolek wszystko wiedział. Nie było dnia, żeby mu co do ucha nie przyniósł Poremba, Krzywaczyński, Kubasiński lub kto z dworaków. Wieści te, co z daleka na orlich skrzydłach leciały, były do podróży przybrane, strojne, błyszczące, cudowne; świetne a jasne; wielkimi w nich występowali rycerze królowej polskiej, żołnierze krzyża, z czołami w aureolach, z barkami w skrzydłach, bohatersko.

Serce do nich gorzało — a Karol słuchając, i nie mogąc sam bieżeć do nich — smutniał bardzo; wychował się w tem powietrzu starego dworu, którem oddychając nie można było gorąco ojczyzny nie kochać. — Czytywał dziadowi Plutarcha, wieczory długiemi słuchał opowiadań o pradziadach i wiedział to, że za ojczyznę powinien był umrzeć. — Gdy w sali jadalnej przeszedł pod wizerunkami tych co poginęli z Saracenką w dłoni, mówili mu oni, co go czeka. Był ich nieodrodnym synem.

Gorzało w nim coraz mocniej, a ojciec i dziad milczeli.

Było to milczenie wielkie i święte, jako próba Boża nad człowiekiem, albowiem ojciec i dziad w ten sposób hartu duszy jego próbowali.

Ojciec go chciał był dawno do pana Pułaskiego posłać, ale stary powstrzymał

— Mospanie Jakubie — rzekł — dla ojczyzny ofiara musi być dobrowolną; albo dojrzał już nasz

Karolek, to się swego obowiązku sam domyśli, albo jeszcze nadto młody, to go tam dawać zawczasu.

— Posłuszne dziecko — mówił pan Jakub — nie pójdzie bez zezwolenia.

— Asan tego nie wiesz, bo jesteś kulawy kaleka nieborak — odpowiedział pułkownik — nie byłeś w tem jako ja. Czekałem ci, czekałem, żeby mnie Jegomość wysłał, aż gdy dobrze na wojnę zawrzało, myślałem — to i mnie poślą, krew kipiała, nie posyłali. Wreszcie jednego dnia uchwyciłem konia i z domu rodziców uszedłem. Rodzic bo na rzeź dziecka nie da, byłaby to ofiara Abrahama. Jeśli Karol doścignął już do służenia ojczyźnie... pójdzie on sam! pójdzie! A tego ja chcę, aby była ofiara pełną, dobrowolną i aby ją Bóg błogosławił. Patrzę nań, nie podżegam, milczę, już tam w tem sercu wre.. jeno Boga proś, aby mu się powiodło jak należy.

Dał tedy pan Jakub pokój, ale pilniejsze niż kiedy mieli oko na młodego, który latał, zbierał wieści, smutniał, męczył się, aż wreszcie doprowadziły go nieszczęścia ojczyzny do tej rozpaczy, iż sobie rzekł. — Nie wyprawują mnie, no to pójdę sam... przebaczą mi!

Poremba z całego dworu o konfederacyi najlepiej był uwiadomiony; była to wielka przyjaźń między nim a Karolem.

Ale stary był trochę zdrajca. Bo co z synem gadał wieczorem na ławie pod gankiem, to nazajutrz rano ojcu odnosił — a ojciec milczał. — Aż jednego rana rzekł panu Jakubowi. — Albom ślepy, lub już oto nadchodzi godzina, że nam Karolek zbieży.

Czekał odpowiedzi Poremba, nie otrzymał żadnej, pan Jakub głową pokiwawszy wyszedł. Wtedy pomyślał sobie stary żołnierz. — Nie chcą się przeciwić woli Bożej, niech się dzieje..

Chłopcu nie mówił ani tak ani owak, chociaż z pewnych znaków wiedział napewno, że Karolek już długo nie posiedzi w Skale.

Trudno było w tym karnym dworze, gdzie wszystko szło w ład i w skład — przygotować tę ucieczkę — Karol sobie głowę łamał, sposobów szukał.

Starzy z kątów zaczajeni, patrzali, widzieli wszystko, a zdało się, jakby nie domyślali się nic a nic.

— Ma być ofiara — powtarzał pułkownik, niechże będzie całą, własnowolną. Aby na wojnę pójść cóż młodemu potrzeba?

Konia miał Karolek, którego mu dziadek darował a był szpak po tureckim stadniku, ognisty i łagodny jak panienka, do swego pana przywiązany jak dziecko; jadł z rąk, głos znał... latał jak ptak, chodził jakby oczy miał w nogach.

Siodło mu huzarskie sprawiła matka z wszelakim do niego przyborem; podróży bowiem inaczej jak konno nie odbywał Karol. Szablę starą ojciec mu był dał, składną, lekką, ale to nie Saracenka. Tę Plutowie zwykli byli uroczyście synom oddawać z błogosławieństwem, z obrzędem. Klękał młodzieniec, modlono się i dopiero szablę ową przypasywano. Ale trzeba było na tę cześć i zaufanie zasłużyć.

Karolowi już było tak, jakby na Madejowem łożu, ze dniem każdym rosła gorączka, ręce łamał, włosy rwał, dopóki sobie nie powiedział w ostatku.

— Pójdę! wszakci mi przebaczą! Gdy raz to sobie postanowił w ciszy serca swojego, począł się zaraz ostrożnie gotować do drogi.

Nieopodal w okolicy Krakowa snuły się oddziały konfederatów, kręcili się i Moskale i pan Branicki im pomocny, ale przedrzeć się przez nich z pomocą Bożą było można.

Nikomu swej myśli nie zeznał Karol, ale już w nim dojrzała, patrzył chwili. Gdy mu już przyszło ten kąt spokojny opuszczać, w niepewną walkę się rzucić, na chwilę się zawahał, potem poszedł, pomodlił się i znowu do drogi gotował.

Na wszystko to oczy dziada i ojca patrzały, w czystej twarzy chłopięcia czytały jak w zwierciadle — milcząc oba.

Była znowu chwila, że ojciec uląkł się, serce mu zmiękło, chciał już powstrzymać, ale dziad nie dał.

— Jakubie, słuchaj mnie Waszmość, nie godzi się — rzekł. — Jam życia nie dał, ty nie mogłeś, on ojczyźnie dług spłacić musi, aby na nas plamy nie było. Niechże płaci dobrą wolą.

Matce też popłynęły z oczów łzy, bo i ona o wszystkiem wiedziała; wstrzymać by była pragnęła, lub przynajmniej wyprawić baczno — i ją przecież ukołysał dziad.

— Niewiasto a matko — odezwał się do płaczącej — kobiety spartańskie same na wojnę dzieci w zbroję opinały i mówiły im: — wracaj zwycięzcą, albo nie powróć mi lepiej. Tego ja od ciebie nie chcę, ale mu przeszkód nie stawiaj; to dzieło święte. Módl się i patrz co Bóg uczyni.

Matka zmilczała, otarła łzy i była posłuszną, jak nawykła — ale w sercu?!

Karol sądził, że nikt nie wie o niczem, krył się z zamiarem swym, bojąc się, aby mu nie przeszkadzano. Miał tylko jednego powiernika, który go zdradzić nie mógł: tym był Staszek Kulik, chłopak od szkół jego towarzysz, przyjaciel, sługa i powiernik.

Za onym dworem pańskim ku wsi, stała chata stara na poły w ziemię wpadła; mieszkał w niej niegdyś młynarz Kulik, co go było młyńskie skrzydło porwało i bez duszy o ziemię cisnęło. Żona jego Kachna niegdy dworsko służyła; mieli tylko jedno dziecię, tego bladego Staśka. Gdy to nieszczęście padło na ubogą chatę, Staszek był małem chłopięciem, — został sierotą. Wzięto go do posług panicza do dworu, z nim też Stasiek pojechał do szkoły, i pomiędzy sierotą a paniczem zawiązała się przyjaźń taka, że Stach by byłżycie dał za Karola, a Karol w ogień rzucił za swojego służkę.

Rośli razem rówiennicy; Stasiek nawet nie pojmował, aby go kiedy mógł odstąpić, Karol, żeby się miał obejść bez niego.

Gdy przyszła stanowcza życia godzina, owa w ciszy osnuta wyprawa na wojenkę, nie mógł się też Karol obejść bez Stacha, jemu się jednemu zwierzył, a chłopiec pomyślawszy, rzekł:

— A no, toć pójdziemy razem!

Knuli tedy już spisek wspólnie, a szło oporem. Bez grosza się puścić nie było można, dla Staśka też konia i rynsztunku brakło.

Ale poczęły się dziać istne cuda. Jednego poranka dziaduś rzekł do wnuka.

— Czemu to Stach z tobą nie jeździ, gdy w pole z chartami ruszasz, pewnie konia niema.

A po chwili dodał.

— Konia mu ze stajni dać, pożyczanym sposobem na nic, bo go schlaszcze, zmarnuje; jak swojego mieć będzie, poszanuje lepiej. Jak ci się zda, deresz co go zowią popem, to wytrwałe konisko? hę? Gdyby tę szkapę sobie Staszek wziął? Tylko powiedz mu, niechże jej jak oka we łbie strzeże.

Aż w ręce pocałował dziada Karol, tak mu to przyszło w porę.

— Niechże mu i siodło z masztarni dadzą, porządne huzarskie, czarne z rzędnikiem surowcowym, aby ci też wstydu nie robił. Oklep nie pojedzie, a raz wraz pożyczać. Powołano Staszka, przybiegł i plackiem do nóg upadł staremu, który dodał.

— Tylko mi deresza pilnuj, bo plagi! Koń gorący... Koń mospanie przyjaciel a nie sługa — niewolnik, koń brat i druh... dobra szkapa życie daje człowiekowi... rozumieć ją... ale kochać trzeba.

Tak tedy Stach naprzód dostał konia wcale niespodzianie.

Ale w drogę bez grosza nie było ani podobna ani przystojna ruszać, a skąd go wziąć? Nie brakło na potrzeby Karolowi, obyczaj jednak był taki, że się z każdego grosza musiał rachować. Naprzód wziąć więcej nie było powodu, nużby się domyślili!

Matka wprawdzie w dzień narodzin Karola dała mu sto czerwonych złotych, które jak z nieba spadły, a dając powiedziała:

— Nie wydawaj ich, schowaj, niech będą na wielki przypadek, abyś mógł dobry uczynek spełnić bez wiedzy naszej, gdy ci to serce powie...

Było tego dosyć na drogę, ale to macierzyńskie czerwone złote! Jak je po świecie rozproszyć — zawahał się Karol.

Byłże lepszy uczynek, jak pójść z niemi bić się za ojczyznę? Tymczasem znowu, niewiedzieć jak się trafiło, że na tydzień przed wyprawą, przyszedł Abraham stary arendarz w Skale do dworu i do stancyi Karola z pokłonem.

— Mam do jasnego panicza bardzo wielką prośbę — rzekł pokornie.

— Do mnie?

— A no, tak... tylko proszę mi nie odmawiać.

Panicz wie, że mam maleńką córeczkę Ruchlę, która teraz dopiero piąty rok zaczyna. U nas taki zwyczaj, że się na posag wcześnie zbiera. Otóż mi się dla niej już trochę złota uciułało.

Karol słuchał nie mogąc zrozumieć o co idzie

— Jasny panicz niechaj do siebie weźmie to złoto... a później mi odda. Za lat... dziesięć. Ja nie potrzębuję ani pisania ani dokumentu, a z procentem to się obliczymy, niech to sobie leży u panicza, bo ja tak myślę, że to mi przyniesie szczęście. Żyd, zwyczajnie żyd, jest zabobonny, otóż ja mam taki zabobon.. żeby koniecznie to było w rękach u panicza.

Karol aż się zarumienił.

— Kusicielu — rzekł śmiejąc się — lepiej byś to oddał ojcu memu albo matce... a mnie to na co.

— No, to jest żydowski zabobon — rzekł Abraham... — Na co? albo to można wiedzieć kiedy pieniądz potrzebny? To się może zdać.

Spojrzał Karol, zląkł się czy go żyd nie odgadł, lub po judaszowsku nie próbował.

— Ale pieniędzy mi ojciec daje...

— To ja wiem... ale...

I położył zielony woreczek na stole żyd a kłaniał się, Karol drżał jak liść, ów prosił a prosił.

W woreczku było złotem obrączkowym dukatów dwieście. Nic dziwnego, Abraham był bardzo bogaty.

Karol się wahał, obawiał, naostatek uściskawszy żyda wziął, posądzał go, że się coś domyśla, ale był pewien, że nie zdradzi.

Nie wiedział, iż te czerwone złote tegoż ranka z rąk jego ojca wyszły.

Tak mu się wszystko dziwnie składało... jak by go sam Pan Bóg wyprawiał.

I on i Staszek już byli nawet dzień postanowili... nadszedł on.. wszystko stało w pogotowiu.

Dziesięć może razy tego dnia Karol do stajni zaglądał, szpak rżał zdrów, raźny... serce mu biło, myśląc jak go dosiędzie i poleci! oh! poleci!

Ale jakże to pojechać bez błogosławieństwa, bez pożegnania.

I tęskno też było porzucić tu wszystkich i wszystko, na długo... nie wiedząc kiedy się wróci a nawet czy się powróci.. Więc choć radością biło serce młode, chmura wisiała na czole. Chodził smętny oglądając kąty wszystkie, jakby je żegnał.

Pod wieczór już zszedł do ogrodu, wiosna była wczesna, na niektórych drzewach tryskały listki zielone, pod stopami szmaragdami słała się murawa, a w krzewach osłonione zakwitały pierwiosnki.

Pomiędzy drzewy zdala zaświeciła biała sukienka... ulicą szła Ewusia.

I tę mu dziwnie sam los nastręczał, aby ją Karol jak brat mógł pożegnać, sam na sam, bez świadków, swobodnie a rzewnie.

Zbliżywszy się, zadrzeli oboje, Karol chciał uciekać, a znalazł się o krok tylko... Ewusia w tej chwili zdała mu się tak piękną, jak może, może nigdy jeszcze.

Miała białą sukienkę i kapelusik prosty, słomiany z różową wstążką. Dwoma długiemi kosami spadały jej warkocze na białe ramiona. W niebieskich oczach śmiało się niebo; w ustach malutkich igrał dziecinny wdzięk niewysłowiony. W ręku niosła cały pęk kwiatów wiosennych... a Karol postrzegł, że ręka ta drżała.

Gdy się zbliżyli i stanęli przeciw sobie.. długo im wargi drżały, a słowa przemówić nie mogli. Karol powoli sam nie wiedząc co czynić, wziął ją za tę rękę drżącą, której w życiu jeszcze nigdy tknąć nie śmiał... dziewczę pobladło, on dostał głowy zawrotu. Przyłożył usta w milczeniu do ręki, oczy się ich spotkały.

— A! panie Karolu! — szepnęło dziewczę.

— Ewusiu!.. ja... ja ci tylko chciałem powiedzieć dwa słowa.

— A! to może co strasznego!

— Nie — nie... to tak... to żart...

— Czyżbyś żartował — ze mnie?

— O! niechże Bóg broni! nie z was! to tak! Wy nie wiecie... to sekret dla wszystkich, ja może za kilka dni wyjadę... może... otóż chciałem was pożegnać... tylko was! bo o tem nikt wiedzieć nie będzie

— Jakto? jedziecie bez wiedzy państwa! potajemnie? a! to bardzo źle.

— Ale bądź spokojną... to nic złego, ręczę wam... później dowiecie się wszystkiego... Ja wam tylko na odjezdnem chciałem raz powiedzieć, że kocham was jak brat... i chciałem was spytać...

Wyrazy umarły na wargach, oczy je zastąpiły.

Dziewczę pobladło jak marmur, a potem zaczerwieniło się jak wiśnia.

— Ja was kocham,. bardzo was kocham, Ewusiu! tak jak nikogo w świecie kochać nie będę... ale wy? wy?

— Ja — panie Karolu! o mój Boże... ja pana kocham... jak brata, — odrzekło dziewczę nieśmiało, ale doprawdy... strach mnie jakiś ogarnia.

— O! nie bój się! — zawołał Karol ośmielając się — a powiedz mi, czy mnie tak zawsze kochać będziesz, czy nie zapomnisz o mnie?

— O! nigdy! nigdy! — odpowiedziała Ewa...

W tem miejscu rozmowy, jakby straszny grom rozległ się głos matki.

— Cóż wy tu tak rozprawiacie? — Matka stała tuż, o krok, uśmiechnięta, ale z oczyma łzawemi... może się też domyślała czegoś. Przybliżyła się do wychowanki.

Karol miał tylko czas dać jej znak, aby go nie zdradziła.

Promienna chwila życia minęła, powoli szli nazad ku dworowi — nie śmiejąc już oczów podnieść na siebie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

NAD SZPREWĄ.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Chłopak likwidował teraz w myśli koszta swojego dobrego uczynku. Książki, odzież... to, co musiał zapłacić w restauracyi. Zdrowia i wysiłku nie rachował wcale.

Z niecierpliwością oczekiwał na garbusa. Nareszcie zaturkotała dorożka, zaczęto głośno rozmawiać w pierwszej izbie, wtoczył się kolega a za nim posługacz niosący odzież.

— Zabawiłem długo — rzekł Wojtuś (tak garbusa zwano) — trzeba było ślusarza poszukać, aby otworzył zamek. Poczciwa Rychterowa o mało nie omdlała. Dalipan, gbyby nie to, że ma lat więcej czterdziestu, powiedziałbym, że się w tobie kocha! Ledwiem ją mógł uspokoić.

Wiesz, że nieboraczka polskiego języka choć Polka zapomniała prawie zupełnie... powraca jej tylko ta mowa połamana, gdy bardzo jest wzruszona lub mocno się na kogo pogniewa. Tym razem po niemiecku i po polsku — Herr Jesu! i — Chryste Panie! wołała desperując nad tobą.

Summa summarum poczciwa kobieta... Przyrzekła gorącej kawy zgotować, abyś ją zastał z powrotem.

Wojtuś mówił, a Wolski się już przebierał co prędzej, zrzucając mokrą bieliznę...

— A pieniądze? — zapytał nagle...

Garbus nic nie mówiąc sięgnął do kieszeni, dobył z niej cztery talary bite i położył je na stole.

— Od Richterowej? — zawołał Wolski.

— A od kogożbym je wziął! Cztery talary, sumę neapolitańską!!

— Ale po cóż było brać tyle?

— Przyznam ci się, że jednego z tych czterech... musisz mi pożyczyć... — dodał Wojtuś — to darmo, ręka rękę myje... jestem goły... Skorzystam z twego heroizmu... ty na to jesteś stworzony, aby z ciebie wszyscy korzystali.

Ale ci oddam.

Wolski nic nie odpowiedział, a Wojtuś jednego z talarów mknął do kieszeni. Zaledwie przebieranie się skończyło, wszedł gospodarz. Rozpłacenie się poszło gładko — Wolski targować się nie śmiał. Policzono mu przyszłe szorowanie podłogi.

U drzwi stała dorożka, siadającego w nią Wojtuś pożegnał, miał talara i korzystał z niego, aby pójść do Spargnapaniego pokazać się rodakom a opowiedzieć im całą przygodę. Kajetan czując się zmęczony mocno rzucił się w powóz, na którego dnie zmokłą swą odzież umieścił, i kazał się wieźć do domu. Jeszcze się z dorożkarzem rozpłacał, gdy po schodach kroki słyszeć się dały niespokojne. Ze świecą w ręku biegła przodem nie młoda kobieta, w czepku, którego wstążki były rozpuszczone, w szlafroku ciemnym i pantoflach na nogach. Z twarzy jej łagodnej i dobrej znać było, że niegdyś musiała być piękną. Znękacie i wiek, praca i ubóstwo nie odjęły jej pewnego wdzięku, który daje serce prawdziwie niewieście, dobroć i spokój ducha. Za nią w filcowych ciężkich trzewikach, zdyszana szła otyła służąca z zakasanemi rękawami niebieskim fartuchem. Była to gospodyni pani Richterowa, wdowa po urzędniku, u której Wolski mieszkał, ze sługą.

Gospodyni z wielkiego wzruszenia rzuciła się niemal ściskać zmięszanego Kajetana, który jej, jak mógł i umiał, dziękował.

Służąca mimo poczwarnej fizyognomii i postawy nosząca poetyczne Laury imię zabrała węzełki mokre i już szli na górę... a całą drogę Richterowa gderała po polsku i po niemiecku.

— Czy to się tego godziło... Herr Jesus! panie Kajetan! Matka pana jednego ma... Mein lieber Gott... Schauderhaft! mógł pan się upić! (utopić.) Ale pan tak zawsze, o drugich pamięta — o sobie in keinem Falle! Herr Jesus! Herr Jesus?

Pomimo, że nie pora była jeszcze palić w piecach a szczególniej ubogim studentom... Richterowa w izdebce Kajetana kazała napalić. Kawa była gotowa... radziła mu zaraz iść do łóżka. Poczciwa kobieta krzątała się sama, posyłała sługę i nie uspokoiła się, dopóki podziękowawszy jej za to macierzyńskie serce, Wolski się

nie zamknął ze środka i nie położył w istocie, aby odpocząć.

Mimo młodości, siły, zdrowia — kąpiel, walka z topielcem, cała ta przygoda oddziałała silnie na niego. Czuł mocny ból głowy i powoli rozpościerającą się gorączkę... Obrazy dziwne snuły się po mózgu... dom, matka... garbus... topielce... komercyjny radca... gospodarz z restauracyi... książki zgubione, surdut skradziony... wszystko to razem kłębiło się, wiło, przewracało jak w kaleidoskopie. Dziwne głosy... burzy, muzyki, krzyku i śpiewu brzmiały mu w uszach... turkot powozów po bruku, uroczysty chór organów, pisk zwierząt razem mu w uszach szumiały...

Usypiał, lecz nie był to sen uspokajający a raczej senność chorobliwa, która gra na wstrząśnionym mózgu poruszając wszystkiemi jego fibrami. Po kilkakroć usiłował się pozbyć przykrego tego wrażenia, jakie gorączka wywierała na nim, lecz jak brzemię ołowiane uciskała go i obejmowała. Zdawało mu się, że wieki tak się przemęczył.

Gdy nakoniec otworzył powieki znużone... stukano silnie do drzwi... biały dzień wpadał przez jedyne okno izdebki. Za drzwiami słychać było niespokojne głosy Richterowej i Wojtusia.

Chciał się zaraz okryć i zerwać Kajetan, ale uczuł tak słabym, że zaledwie mógł się poruszać. — Usta miał spalone, głowa ciężyła, w uszach szumiało.

Słabym głosem też odezwał się po chwili, że drzwi wkrótce otworzy... Narzuciwszy na siebie płaszcz, powlókł się do nich, odryglował z wysiłkiem i padł na krzesło... Wchodzący Wojtuś, zobaczywszy go skurczonego na krześle, krzyknął przestraszony.

— Ty jesteś chory... doktora ci potrzeba.

Richterowa zaglądała przez szparę. Wolski mówić jeszcze nie mógł, lecz wzmianka o doktorze przeraziła go.

— Na miłość Boga! — zawołał — dajcie mi tylko wypocząć... młodość to najlepszy doktor... żadnego lekarza nie chcę... nie chcę... proszę...

Richterowa zniknęła. Wojtuś pozostał.

— Idź do łóżka, masz gorączkę, — odezwał się — ja posiedzę przy tobie. Kąpiel wczorajsza nie posłużyła ci widocznie, byleś ją tylko drogo nie przypłacił. Śliczna rzecz choroby się nabawić, ażeby niezdarnego takiego bursza za uszy z błota wyciągnąć.

Wojtuś usiadł przy łóżku.

— W uniwersytecie dziś o niczem nie mówią tylko o tobie. Turyngia gotuje uroczysty komers na cześć twoją. W srebro okuty róg czyszczą, aby go spełnić za zdrowie bohatera. Ale kiedy kto ma szczęście jak ty, to mu się jeszcze uda, życie narażając wyciągnąć z wody takie stworzenie z pozwoleniem jak tobie. Widziałem go, chodzi zdrowiuteńki bestya, ogromny bałwan. Znają go wszyscy... sławny brutal i pojedynkowicz... despotycznie władający Turyngami. Syn bogatego radcy komercyjnego von Riebe... Ojciec na rozmaitych handlach dorobił się szlachectwa, dekoracyi tytułu i majątku. Całe szczęście, że ma mieć bardzo piękną siostrę, która, jak wieść niesie, taksowaną jest na giełdzie na minimum 300 tysięcy marek.

Żebyś się jednak nie łudził jej wdzięcznością, muszę cię ostrzedz, iż się o nią stara junkier, oficer z gwardyi baron von Liebenthal. Widzisz, żem na twoją intencyą dowiedział się o najmniejszych szczegółach.

Teraz potrzeba ażebyś wyzdrowiał jak najrychlej, gdyż komers i pijatyka cię nie miną. Gdybyś odmówił, Hänschen cię wyzwie i pokiereszuje za to, żeś mu życie wyratował.

Nie ręczę, żeby i radca komercyjny nie chciał ci okazać swej wdzięczności sałatą kartoflaną ze śledziem i prawdziwem piwem bawarskiem.

Paplał tak Wojtuś, a Kajetan leżał z zamrużonemi oczyma na łóżku, gdy pukanie dało się słyszeć.

Garbus widząc znużenie i zamknięte oczy przyjaciela, wybiegł co prędzej, ażeby go od nieproszonych jakichś uwolnić odwiedzin.

W progu zastał ogromnego Hänschen, w nowej czapeczce na głowie, w butach paradnych, ze świeżą wstęgą na piersiach, z laseczką w ręku, a przy nim dwóch wczorajszych towarzyszów w podobnych strojach.... Hänschen już się nieco namarszczył, że go zaraz nie wpuszczono.

— Przebaczcie, panowie — odezwał się garbus.

— Czy tu mieszka Herr von Wolski ?

— Tak jest, ale mój przyjaciel von Wolski mieszka w tej chwili w łóżku i ma silną gorączkę, przebaczycie więc...

— A! a! a! — ozwały się trzy głosy — chory!

— Zaziębił się wczoraj...

— Chciałem mu podziękować... — mruknął Riebe — ocalił mi życie...

— A! niema za co — z uśmiechem niewinnym niby a w istocie szyderskim dodał Wojtuś — mała rzecz!

— A ja dziś ani czuję nic — odezwał się piękny młodzian z góry spoglądając na garbusa.

— Więc powrócimy później, gdy odpocznie. Niech pan od nas...

Skłonili się sobie. Wojtuś podjął się wyrazić wdzięczność i pozbył się nareszcie studentów...

Wolski był ciągle drzemiącym...

O godzinie dwunastej dało się słyszeć powtórne pukanie do drzwi i nie czekając pozwolenia, nie nawykły, aby go odprawiano od progu, wtoczył się sapiący komercyjny radzca von Riebe. Wojtuś chciał już zbyć się go u drzwi, lecz nie dał się wstrzymać i zbliżył do łóżka. Rozpalona gorączką twarz Wolskiego sprawiła na nim widoczne wrażenie... stał niemy patrząc na niego... ustami tylko poruszając z nieukontentowaniem. Oglądał się po ubogiej izdebce... zmięszał nieco i dawszy znak garbusowi odciągnął go do kąta.

— Pan jesteś przyjacielem tego pana? — szepnął zakłopotany.

— Tak jest — odparł Wojtuś — do usług.

— Chory widzę...

— Tak — chory...

— Niezmiernie mi przykro...

— Mnie jeszcze bardziej, bo go znam i kocham.

— A jam mu życie syna winien... — mruknął radzca komercyjny. To mówiąc schylił się do Wojtusia i wziął go za guzik od sukni. — Widzi pan, wdzięczność wdzięcznością, a rachunek rachunkiem. Pański przyjaciel nie jest zamożny... to łatwo poznać. Mam rachunek z nim do załatwienia.

— Jaki? — ofuknął Wojtuś.

— A no... suknie... podobno mu skradziono... i jeśliby chorował, doktor i apteka... Oczywiście to, co było pomoczone... to wyschnie i tego niema co liczyć. Stracone nie jest. — Garbus wlepił w niego oczy zdziwione, osłupiałe.

— Pan jesteś komercyjny radzca Riebe? — spytał Wojtuś zimno.

— Von Riebe — poprawił radzca.

— Przepraszam — mówił garbaty — panu jako radzcy handlowemu wolno rachować w ten sposób, ale my ludzie nie komercyjni i nie radzcy; przysług, które czynimy ludzkości, nie zwykliśmy sobie likwidować. Mówmy ciszej, gdyby mój przyjaciel usłyszał rozmowę, mogłoby mu to powiększyć gorączkę. Pan zupełnie nic nie jesteś winien memu przyjacielowi — dodał złośliwie — bo nawet wdzięczność trzeba odłożyć do czasu, gdy się pan przekona, że z syna mieć będziesz pociechę.

Na te szybko wypowiedziane słowa radzca nie umiał czy nie chciał nic odrzec. Stał potrząsając głową... patrzał na garbusa, to na łóżko, potarł brodę, chrząknął. Spojrzał na dziurkę od surduta, czy w niej znaki orderowe widoczne były... ukłonił się zlekka i zadumany wyszedł. Nie był pewnym, czy nie obraził tej pysznej a ubogiej szlachty polskiej, której próżność znaną mu była z odgłosu.. nie wiedział, ani jak to naprawić, ani jak się pogodzić z tą myślą, że ubogi chłopak z jego przyczyny stracił kilkanaście marek. Już był za progiem, gdy nagle mu myśl przyszła szczęśliwa, wywołał garbusa.

— Gdy przyjaciel pański wyzdrowieje — rzekł po cichu z miną uradowaną — ich muss mich revanchiren — nie odmówi mi, napiwszy się wody z przyczyny mojego syna — napić się wina u mnie i pozwolić, bym jego szlachetną dłoń uścisnął.

Wojtuś się uśmiechnął, minę nastroił wielce poważną, uroczystą i w milczeniu oddał ukłon radzcy komercyjnemu, który swobodniej oddychając — po wyrzeczeniu — ich muss mich revanchiren... posunął się już na schody spokojny na duchu i na sumieniu.

W izdebce Wolskiego zapuszczono firanki. Richterowa gotowała rosół z kury i stała zafrasowana w kuchni. Garbus wziął szlafrok swego przyjaciela, który misternie skrócił, bo był dla niego za długi, zapalił cygaro i został przy chorym na straży. Kajetan ciągle był drzemiący i senny... niekiedy prosił słabym głosem o wodę. Gospodyni koniecznie chciała sprowadzić lekarza, lecz Wojtuś ją zapewnił jako medyk, że jeszcze nie widzi niebezpieczeństwa, a gdyby je spostrzegł, w takim razie uprosi jednego z profesorów... Wolski zarówno z nim na medycynę chodził.

Wątpię, by który z czytelników moich, nawet z tych, co wino szampańskie lubią i smakują w niem, zapragnął bliżej poznać sposób, w jaki się ono wyrabia. Jest to proces bardzo ciekawy. Wino zaprawiają cukrem i, nie wiem, jakiemi tam dodatkowemi ingredyencyami i zakorkowują je w butelkach. Po upływie pewnego przeciągu czasu, gdy fermentacya się w niem wywiąże, którąby niechybnie flaszkom boki porozsadzała, dobywają korki, dają gazom zbytecznym ulecieć i dopiero potem zamykają znowu do — wiadomego użycia.

W ten sposób praktyczny obrachowane jest wychowanie młodzieży niemieckiej. Gdy zbytek gazów w głowie i w organizmie się wyrobi, puszczają młodzież swobodną na uniwersytety, aby odkorkowana pozbyła się wszelkiego zbytku niebezpiecznej siły. Młodzieniec hula, pije, puszcza

wodze bucie i fantazyi przez lat trzy lub cztery, i gdy zużyty, wycieńczony, pokłóty, odarty ze wszech złudzeń powróci potem do domu, już go bezpiecznie do wszystkiego użyć można — stanie się z niego człowiek praktyczny, wystygły i doskonały — do wiadomego użycia.

Jest to cała tajemnica, za pomocą której w Szampanii robią dobre wino, a w Niemczech doskonałych Regierungsrathów. — Ten, którego zwano księciem żelaznym, niegdyś ubogi szlachetka na Schönhausen w drugim Jerychowskim okręgu na Pomorzu, miał być burszem na Pomorzu, miał być burszem zapamiętałym i snać mimo odkorkowania nie pozbył się wszystkiego gazu zbytecznego, bo w polityce jego zawsze czuć było niemieckiego bursza. Może dlatego tyle w niej było fantazyi i siły.

Lecz — nawiasowo tylko wspomnieliśmy o tem, aby wytłumaczyć czytelnikom, iż Hänschen, mimo burszowskich obyczajów nie był tak nieznośnem stworzeniem, jak się na pierwszy rzut oka wydawało. Jeszcze z niego złe i dobre gazy nie były się zupełnie ulotniły. Hänschen był niezmiernie liberalny, wierzył w prawa ludzkości, czcił swobodę, z pogardą wyrażał się o zbytecznym militaryzmie, wyznawał wolność sumienia i burszowskie prądy unosiły go ku opozycyi, chociaż sobie jasno nie zdawał sprawy ze wszystkich do niej pobudek.

W Niemczech jeszcze gdzie niegdzie naówczas przechowany z r. 1831 błąkał się wysoki szacunek dla „heroicznych synów Polski.“ Nazwisko Polaka oznaczało obrońcę zasad liberalnych, żołnierza swobody, syna wolnego a ujarzmionego ludu. Hänschen też znalazłszy te tradycye w uniwersytecie wziął je do serca. Bardzo mu było przyjemnie życie być dłużnym polskiemu baronowi — tak bowiem Niemcy zwali wówczas każdego Polaka, który był szlachcicem. Wprawdzie wyobrażał sobie to baronostwo nie na trzeciem piętrze, i nie w tak ubogiej stancyjce od tyłu, — ale przykre położenie potomka znakomitej arystokratycznej rodziny dodawało jej jeszcze blasku.

Schodząc ze schodów spotkał Riebe panią Richterową i domyśliwszy się w niej gospodyni, zatrzymał się, aby o p. von Wolski popytać. Zacna niewiasta, która swojego lokatora wysoce szacowała — bardzo chętnie rozpowiedziała o nim p. Riebe, okrywając go pochwałami. Nie mogła znaleść wyrazów na opisanie jego dobroci, pracowitości, szlachetności, urósł w jej ustach na ideał. Hänschen powrócił do domu do ojca i w kilku słowach mu to powtórzył. W uniwersytecie też mówiono o Wolskim z wielkiem współczuciem.

Matka bohatera, chora, kaszląca, nie młoda, wiecznie milcząca i bardzo zajęta domem kobieta, wysłuchała także tych pochwał nie okazując, by na niej jakie czyniły wrażenie. Najbardziej rozentuzyazmowaną była Helmina czyli Wilhelmina, siostra jedyna studenta, przywiązana wielce do brata i lubiąca latać po obłokach i szukać aniołów, z któremi się na ziemi spotkać nie mogła. Jakim sposobem istota tak piękna mogła wyrosnąć w tem gnieździe, było tajemnicą natury i zapewne jakiegoś atawizmu. Przypominała ona twarzą nieco przystojnego brata, ale on przy niej pospolitą, raelistyczną wydawał się karykaturą.

Był to typ niemiecki, lecz jakby zapożyczony przez państwo radzcostwo komercyjnych, z rysunku Richtera, z fresku Kaulbacha, z ilustracyi Overbecka.

Chociaż wychowana w mieście, Helmina miała w sobie urok jakiegoś dziewictwa wiejskiego, naiwnego, jakby zdziwionego i nieświadomego życia. Twarzyczka trochę długa, regularnych rysów z wielkiemi oczyma niebieskiemi, — cała osłoniona obfitością złotych włosów, — usteczka wpół uśmiechnięte pytaniem jakiemś i jakby gotowe równie zapłakać czy wesołością wybuchnąć — dopełniły tylko całości, jaką stanowiła postać zręczna zarazem i niewymuszonej prostoty nosząca piętno na sobie. Trzeba ją było widzieć poruszającą się, idącą, gospodarującą w domu, aby poznać, jak była piękną. Ruch dopiero darzył ją całym właściwym jej wdziękiem. Piękna Helmina znaną była wszystkim towarzyszom Riebego młodego a oprócz tego większej części młodzieży wojskowej i już wyemancypowanej. Widywano ją i zabiegano jej drogę na przechadzkach, w teatrze, gdziekolwiek się tylko pokazała.

Matka była nią dumna, ojciec obrachowywał, że taka piękność, używająca tytułu von przy nazwisku, mogąca mieć sto tysięcy talarów i ojca radzcę komercyjnego — nieohybnie wyjść powinna za czystej krwi junkra pruskiego lub starożytnego szlachcica meklemburskiego, — używającego rzemienia na chłopów dla przechowania starożytnej tradycyi. — Postanowił też był sobie wyczekiwać, wypatrywać i lada komu jej nie oddać. W jego przekonaniu stosunki były też kapitałem procentującym, a że się one przez córkę zawiązać mogły, Helmina w oczach jego przedstawiała też kapitał, który na ogólną korzyść masy powinien był być zużytkowany.

Matka innem wcale okiem spoglądała na ukochane dziecię, które ją, dobrą, spokojną gospodynią i kucharkę całą głową fizycznie i moralnie prze-

rosło. Uwielbiała w niej kobietę idealną nowych czasów, z rozwiniętemi władzami umysłu, zdolną do wszystkiego, pojmującą wszystko, czytającą Schopenhauer'a i Heinego razem, — rozkoszującą się Goethem, grającą Schumanna z wirtuoztwem i szkicującą z natury — jakby ją który z Achenpachów uczył.

Ojciec przywiązywał wielką cenę do wychowania córki, wcześnie ją do wyższych sposobiąc losów — nie żałowano na nauczycieli... uczono ją może do zbytku, szczęściem zdrowa i silna natura nie dała się ani zwichnąć, ani skrzywić — tylko życie, które u kobiety mieszka w sercu i piersi, u Helminy paliło się całe w głowie.

Żyła myślami, czucie u niej rodziło się z myśli, nie, jak naturalnym trybem rodzić się powinna myśl z uczucia.

Zrozumie mnie, ktokolwiek się nad człowiekiem zastanawiał, gdy dodam, że przez to samo Helmina była daleko więcej wyegzaltowaną niż inne kobiety, które serce tylko unosi

Ona i brat kochali się z sobą bardzo i rozumieli lepiej niż z rodzicami Radzca komercyjny niegdyś pono dojechał był z wysileniem do sekundy niższej, dalej zdawało mu się już sięgać niepotrzebnem a przynajmniej zbytecznem. Żyłka go ciągnęła do handlu. — Wychowanie szkolne wielce się życiem zatruło, zapomniał wiele a w obejściu z ludźmi skorzystał mało. Można więc śmiało powiedzieć, że był nieukiem, chociaż chciał uchodzić za wykształconego człowieka i łatwo mu to przychodziło wśród tych, co go zwykle otaczali Niewiele więc córkę i syna rozumiał, usiłując tylko wobec nich się nie skompromitować.

Matka nie udawała mędrszej niż była, owszem chętnie się przyznawała do braku wychowania, ale lepiej daleko rozumiała córkę i można powiedzieć, że dozorując jej wychowania sama się wiele rzeczy nauczyła, bo głowę miała otwartą i pojętną.

W domu więc młodzież stanowiła jakby świat oddzielny i inny — z którym stosunki odbywały się przez pewne wybite dróżki — dla wszystkich przystępne.

Jak Helmina tak Hans miał bystre pojęcie, uczył się, gdy chciał, łatwo, lecz wolał żyć niż się uczyć i zamęczać. Zarozumiałość kolosalna wedle wyrażenia burszowskiego była jednym z jego najwybitniejszych przymiotów.

Radca komercyjny, którego syn dosyć lekceważył, największą w świecie miał trudność obok niego się na prawowitem utrzymać stanowisku. Musiał się pilnować ogromnie, bo mu syn żadnego bąka, żadnego niewłaściwie użytego wyrazu nie przebaczył. Jak matka w istocie wiele przy córce nabrała wiadomości, tak ojciec przy synu nauczył się — milczeć — nauczył tak zręcznie wykręcać słowy, aby żaden ostry kant nie zaczepić. Synby mu nie darował i śmiałby się nielitościwie.

Kto właściwie w tym domu panował, nadzwyczajnie trudno dojść było. Najgłośniej mówił i najmocniej głowę zadzierał radzca komercyjny, lecz żeby był głową wszystkiego — uznać trudno.

Najcichszą, najmniej znaczącą była pani radzczyni, która czasem rankami wyglądała na kucharkę lub służącą — czy ona tu w istocie rządziła tak po cichu — to wątpliwe. Być może, iż kierowały wszystkiem dzieci, a z dwojga ich więcej Helmina niż brat jej, którego ojciec chciał trzymać ostro a nie umiał. Siostra wyrabiała dlań, co było potrzeba, sama lub przez matkę...

Jedna rzecz najniedostępniejszą była dla rodziny — kasa. Radzca komercyjny rozumiał to dobrze, iż póty tylko jest panem, dopóki ma od niej klucze. — Wprawdzie skuteczne do niej przypuszczała szturmy Wilhelmina, otwierała się ona na znak dany przez matkę, lecz radzca stał na straży tej arki najnowszego przymierza i w głębiny jej tajemnicze nikomu okiem sięgnąć nie dopuszczał. Zkąd szły, ile ich było, jak rozporządzał pieniędzmi — o tem nikt nigdy nie wiedział. Zdobyczami nie chwalił się nigdy, na złe czasy uskarżał się nieustannie.

Po obiedzie radca zwyczajem na dzienniki szedł do swojego klubu. Dawniej chodził do zwykłej piwiarni, gdzie czytywał ciocię Voss i mógł zajrzeć do rządowego Anzeigera, ale zostawszy radzcą komercyjnym, dobiwszy się uszlachcenia, nie mógł jak prosty śmiertelnik obok szewca lub krawca może siąść przy białem piwie z gazetą Czuł, że von go do czegoś obowiązywało... postarał się więc o przyjęcie do klubu szlachty i wojskowych, w którym też czasem ukazywali się podsekretarze obcych poselstw lub geheimraty, pracujący po ministerstwach. Tu można było przysługując się zapałką lub przy innej jakiej zręczności zawiązać stosunek nawet z Ekscelencyą. Później kłaniało się jej na ulicy, ludzie widzieli i to stawiało człowieka w przyzwoitym świetle. Radzca więc teraz chodził po obiedzie do klubu swojego, o czem rad głośno mawiał, lecz nazajutrz po strasznym wypadku, który najsmutniej skończył się dla Wolskiego, p. von Riebe wyjątkowo siedział przy poobiedniej kawie z całą rodziną.

Kawa ta podawaną była zwykle nie w saloniku, który jako przybytek szanowano zwłaszcza od czasu, gdy cały nowy garnitur mebli, czerwo-

nym wybity aksamitem, został tu wprowadzony — ale w pokoju samej pani skromnie nader urządzonym. Przypominał on radzcy, smutnie czy wesoło nie wiem, początki jego zawodu i miodowe małżeństwa miesiące i złotą mierność pierwotną. Mebliki były proste i stare, a cacka porozstawiane i religijnie zachowywane — nie ładne i tanie. Lecz poczciwa radzczyni skrzętnie tuliła te swoje drogie wspomnienia przeszłości. Tu i stół do kawy okrywano starą serwetą, któraby już gdzieindziej nie uszła u pana radzcy. Na stoliku stały imbryki i filiżanki z berlińskiej porcelany i niesmaczne i niewykwintne. Jejmość siedziała pokaszlując i patrząc na córkę w fotelu spłowiałym, starszym pewnie od jej dzieci. Obok niej Helmina książkę złożoną trzymając w ręku, zabawiała się nią zamyślona, piękne jej oczy niebieskie w okno były wlepione. Na niskim foteliku rozłożony z nogami wyciągniętemi palił cygaro Hänschen od niechcenia pokręcając młodego wąsika. Na ostatek tyłem do okna z rękami w kieszeniach rozsiadł się wygodnie sam radzca. Rozmowa toczyła się jeszcze o wczorajszym wypadku. Młodzieniec nie przyznawał się do winy — mówił, że go towarzysze wciągnęli, że mniej nad nich odwagi okazać nie chcąc, musiał do łódki wskoczyć.

Ojciec miał go za wytłumaczonego, od czasu jak mieli von, trzeba było, jak powiada — okazywać się zawsze nobel. Syn więc w jego przekonaniu nic nie był winien, postąpił sobie, jak przystało na syna radzcy — nobel.

— Ja go widziałem, bom wszedł zaraz do izdebki — mówił cicho radzca — leżał w łóżku, zdaje się, że był nieprzytomny, ale młody, nic mu nie będzie. Piękny chłopiec tylko mizerny i w mieszkaniu bardzo ubogo.

— Ale kochany ojcze — przerwał żywo bursz — z mieszkania akademika wnosić nic nie można.

Roześmiał się trochę z naiwności ojca i ciągnął dalej.

— Akademik istota wyjątkowa mój ojcze, dla młodzieży trzecie piętra, mała izdebka ma siłę atrakcyjną. Jest coś poetycznego na poddaszach. Potem, któż wie, jeśli sobie zrazu cugle puścił, teraz ich musi przykracać rad nie rad. Ale szlachcic, znakomitej rodziny, to nie ulega wątpliwości. Wiem to od innego Polaka studenta, że to miejsce, na którem Polacy królów obierali, zwało się Wola, i było w posiadaniu jego rodziny. A że w ich języku jest śmieszny zwyczaj dodawania do nazwiska ski, zwali się Wolski.

— Jakto? — przerwał radzca — oni mieli dziedzictwem to pole, na którem królów wybierano?

Zamyślił się chwilę i uderzając po kolanie jakby mimowoli zawołał:

— Co oni za dochód musieli mieć z tego!!! Ba! polnische Wirtschaft, wszystko przechulali!! U nich tak.

Machnął ręką i westchnął.

Bursz popatrzał na ojca.

— Znalazł się względem mnie bardzo szlachetnie, winienem mu wdzięczność i tę mu przysięgam... Turyngia sprawi dla niego komers... ale należy go choć raz zaprosić do nas.

Ojciec jakby mimowolnie spojrzał przelotnie na córkę, która nie wiedzieć dla czego, zarumieniła się, spuściła oczy i wnet podniosła je z udaną jakąś odwagą.

— To rzecz niezawodna — potwierdził radzca, że prosić go trzeba — ale młodzież zbierać w domu... ubogą, tam, gdzie jest taka piękna i bogata panna...

Helmina ruszyła ramionami i rozśmiała się a ojciec zmieszał i zamilkł czując, że mógł powiedzieć niedorzeczność.

Bursz się na głos rozśmiał.

Siostra zerwała się z krzesełka... Wtem dzwonek się dał słyszeć w przedpokoju i służąca przybiegła rumieniąc się i dając znać, że baron von Liebenthal pragnął złożyć swe uszanowanie.

Kawa co najprędzej porzuconą została a gospodyni pierwsza poprawiwszy włosów wyszła do salonu. Za nią pospieszył radzca, potem Wilhelmina, która mimo oznajmionego barona ani w zwierciadło nie spojrzała ani ubrania nie raczyła poprawić, szła za nimi z najzupełniejszą obojętnością; na ostatek dźwignął się olbrzymi bursz z foteliku stękając, cygaro rzucił pod piecyk i wyciągając się posunął za rodzicami.

Właśnie z przeciwnej strony w surducie mundurowym z dwowa wstążeczkami — wchodził zapięty ciasno, sztywny i obracający się z militarnym wdziękiem junkra, chcącego być pięknym — młody baron von Liebenthal.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

MASZERUJĄ.

— Maszerują!... Już ich widać!... już słychać śpiew donośny... Maszerują nasi!...

Tak wołał Tadzio wpadając do klasy.

Koledzy porwali się z ławek.

— Pójdziemy! pójdziemy obaczyć!...

— Ksiądz rektor pozwolił, obiecał, pójdziemy prędko...

Uczniowie pierwszej klasy szkoły Pijarów w Międzyrzeczu zostawiają książki, zeszyty, wybiegają z klasy jakby ptaki z klatki wypuszczone.

— Maszerują! nasi maszerują!... słyszysz ich śpiew? — pyta jeden.

— Na Moskali idą! wiwat! niechże ich pobiją!...

— Prędzej! prędzej! ażebyśmy pierwsi ich zobaczyli...

— Tamci z klas wyższych już są na rynku — woła Tadzio zdyszany i zaczerwieniony, nie dopuszczą nas do nich, prędzej chodźmy!...

Chłopacy spieszą, oczy błyszczą, na twarzach rumieńce, w sercu radość i zapał... obaczą polskie wojsko, wojsko, które idzie bronić ojczyznę, żołnierzy, którzy Moskali z Polski wypędzą.

A drogą ku miastu ciągnie pułkownik Różycki z pułkiem wołyńskich powstańców.

Konie parskają, chorągiewki od lanc wiewają, mundury barwne w oczy wpadają, brzmi pieśń pełna nadziei i zapału..

„Dalej bracia, wszyscy razem!
„Słońce świecić nam zaczyna:
„Dzielną dłonią i żelazem
„Rozpędzimy Moskwicina —
„Zwłoka, zwłoka, rzecz to stara,
„Dalej na koń, za mną Wiara!
„Marsz do Brześcia, Uściługa!
„Skruszmy braci swych niewolę;
„Tam czekają nas z za Buga,
„Litwa, Wołyń i Podole.
„Moskwa próżna dla nas mara —
„Dalej na koń, za mną Wiara!
„Z chorągiewką wiatr swawoli,
„Brzęczy szabla, konik tańczy!
„Spieszmy i na naszej roli
„Zdepczmy, zgniećmy tłum szarańczy;
„Zwłoka, zwłoka, rzecz to stara,
„Dalej na koń, za mną Wiara! —

Uczniowie szkoły Pijarów stoją na rynku w Międzyrzeczu, patrzą na wjeżdżających żołnierzy z zachwytem, salutują po wojskowemu i wznoszą okrzyki:

— Wiwat! niech żyją!

Zatrzymali się ułani, pułkownik Rożycki dał rozkaz spoczynku.

Wtedy studenci rzucili się do ułanów prosząc:

— My konie oczyścimy!

— My lancę przytrzymamy!

— My wody koniom przyniesiemy!...

W niejednem oku powstańca łza wzruszenia zamigotała.

— Poczciwe dzieci polskie! Zacne dusze!... Dorośniecie, to może już w wolnej Ojczyźnie żyć będziecie!...

Co też się teraz na rynku w Międzyrzeczu nie dzieje!...

Może jeszcze nigdy konie nie były tak głaskane i pieszczone jak teraz. Może jeszcze nigdy nie czyszczono tak troskliwie i starannie koników ułańskich jak tu uczniowie od Pijarów starają się wypełnić przysługę życzliwą.

— Mieczek! — woła jeden — podnieś mię, bo nie dostanę do grzywy...

— Staszek! — drugi znów prosi cichaczem — nie mogę drzewca od lancy objąć ręką, przywiąż mi bym trzymał, dokąd ułan nie wróci.

Tamten bialuśki jak panienka, wychuchany pieszczoszek, któremu w domu służba wszystko czyściła, jeszcze nigdy szczotki w ręku nie miał, a teraz konia czyści, rumieni się, wysila, on chce także coś dla Ojczyzny zrobić.

— Zmęczysz się Adasiu... zostaw, ja wyczyszczę.

Adaś spojrzał z gniewem.

— Co? myślisz, iż jabym ci pozwolił? Dam radę...

Starsi uczniowie z tryumfem i dumę spoglądają na najmłodszych... Jakże oni czyszczą i poją konie. Jakże te lance w ich rękach wyglądają!... Co to za piękny dzień dzisiaj w Międzyrzeczu!...

„Z chorągiewką wiatr swawoli,
„Brzęczy szabla, konik tańczy!
„Spieszmy i na naszej roli
„Zdepczmy, zgiećmy tłum szarańczy!...

Śpiewają uczniowie... zaś dwu najstarszych coś długo szepcą ze sobą, wymykają się do miasta, gonią, spieszą... co tchu.

— Widziałeś? — pyta Tadzio — mój brat poszedł, wstydzę się za niego, ojcu powiem, zdrada!... nie wytrwał i wrócił się...

Staszek zaś z gniewem zaciska pięści:

— Tu ułani polscy, a oni idą, wstyd!

. . . .

Na przedmieściu Międzyrzecza, w dworku pana Macieja scena rzewna. U nóg mu klęczą dwaj uczniowie z szkoły Pijarów i proszą:

— Daj nam Panie Macieju dwa konie!... Gdy wrócimy, oddamy, a jeśli zginiemy, to ojcowie nasi ci wrócą za konie. Musimy jechać. Nikt nas nie wstrzyma!... Do księdza rektora napiszemy z drogi i przeprosimy... tu nasze pamiątki rodzinne zostawiamy, daj konie... prędko... błagamy ciebie...

Pan Maciej wstał, wzniósł dłonie, szepnął przez łzy:

— Niech was Bóg prowadzi!...

. . . .

— Maszerują! Maszerują nasi... chorągiewki warczą, słońce im drogę ozłaca, konie parskają, szable dzwonią, pieśń brzmi...

Chłopcy od Pijarów żegnają ich ze łzami...

— Ach!... czemuż jeszcze mali jesteśmy! Czemu nie możemy i my ku obronie Ojczyzny spieszyć...

— Maszerują! — krzyknie Tadzio i rwie się jak strzała. — Staszek widzisz... mój brat z twoim bratem jedzie z nimi... widzisz? popatrz... tam! jeden na siwym koniu, drugi... a ja został... a ja nie pojechał...

I z płaczem padł chłopczyna na ziemię...

. . . .

Do klas wrócili chłopacy. Zasiedli w ławkach, książki wzięli do rąk... profesorowie rozpoczęli naukę...

Do jednej z klas dwu nie wróciło...

Było to w roku 1831 podczas powstania listopadowego.

:: HUMORYSTYKA ::

MIGAWKI.

Na przystanku.

Tramwaj elektryczny przepełniony staje na ulicy Zielonej. Jedna pani wysiada, druga wsiada i obie spotykają się na przednim pomoście.

— A, to kochana pani — mówi pierwsza — jakże się kochana pani miewa, cóż słychać nowego?

— Ot, jak zwykle — powiada druga — chociaż nie brak i nowin. Mianowicie moja Jadzia bardzo dobrze zaręcza się temi dniami...

— Czy być może? Z kim?

— Proszę pani — wtrąca się motorowy — zdaje mi się, że pani chciała wysiadać, bo my jedziemy dalej...

— Ależ zaraz, przecież pan widzi, że wysiadam. Więc z kim się córeczka zaręcza, bo mnie już pali ciekawość...

Tymczasem konduktor daje znak do odjazdu a motorowy dzwoni.

— Zaraz, zaraz panie, już idę, ale przecież ta pani mówi mi coś, to muszę wysłuchać, tylko jedno słówko mój panie, więc z kim?

— Wie pani — mówi druga — zaręcza się Jadzia z tym Paćkowskim, który u nas od miesiąca bywa. To, proszę pani, człowiek na stanowisku, stateczny, z dobrej rodziny, a charakter, powiadam pani złoty...

— No to szczęście, prawdziwe szczęście, powinszować. A ja przyznam się pani, że już się czegoś dawno domyślałam, tylko nie chciałam mówić...

— My jedziemy — powiada motorowy, bijąc w dzwonek — proszę nareszcie wysiadać.

— Ależ to z pana niecierpliwy człowiek, przecież pan widzi, że już idę. A niechże nas kochana pani łaskawie odwiedzi, do widzenia, muszę iść, bo się temu panu bardzo jakoś spieszy, więc czekamy z niecierpliwością, może jutro po południu...

— Jutro nie, kochana pani, bo mam wielkie pranie, a pani wie, że jak się ma trzysta kawałków do prania, to gospodyni musi w domu siedzieć... a prawda, chciałam jeszcze spytać, co pani bierze do prania, bo chlorek podobno bardzo niszczy bieliznę...

— Niech Bóg broni, tylko bez chlorku. Najlepsza czysta woda a potem..

Motorowy znów dzwoni, wreszcie rusza.

— Zaraz, zaraz... czy pan zwaryowałeś? Przecież widzi pan, że tu jeszcze ktoś wysiada... proszę zatrzymać wóz... także jakiś sposób... Do widzenia... do widzenia...

Tramwaj staje; pani wysiada oburzona i woła już z ulicy do tamtej:

— Prawda, jeszcze coś miałam pani powiedzieć, no, ale to już jutro...

Klewe.

Dla pewności.

— Czy narzeczony panią kocha?

— Szalenie, sam mi to mówił.

— W każdym razie niech powtórzy przy świadkach, ludzie gotowiby powątpiewać...

Roztargniony.

A... a... a... pan Alfr.. Adam! Jakże się ma pański tatko?

— Mój tatko?! Nie wiesz to pan, że on umarł przed rokiem?

— Tak, prawda, prawda. Przypominam sobie; biedaczysko skonał na moich rękach. Ja chciałem się właściwie zapytać pana, czy on ciągle jeszcze choruje na śledzionę?

Wykręcił się sianem.

— A... dzień dobry, przyjacielu. Nie masz 10 zł. przy sobie?

— Nie mam.

— A w domu?

— W domu wszyscy zdrowi. Dziękuję. Adieu!

Jaki domyślny.

—... moje uszanowanie pani dobrodziejce. Jakże się tam pani powodzi?

— Dziękuję; dobrze.

— A mąż pani dobrodziejki?

— Myśmy się przecież rozwiedli ze sobą...

— Tak?... A to i jemu się pewnie dobrze powodzi...

A n d r u s (do żyda ziewającego). Aj waj, panie kipiec, tylko mnie nie zjedz!

Żydek. Niech sze pan nie boi. My żydy nie jemy wieprzowiny.

Pierwsza pomoc w nagłym razie.

— Ano prose pana jinspektora, jechaliśma ze krztu świntego, no i moja baba dzieczko kasik zgubiła. Rodbyk tez dać wybębnić, może się odnojdzie.

— A cóżeście na razie zrobili?

— Ano prasnułek babe trzi razy przez łeb, niek dziecka lepiej pilnuje...

Litościwy.

— Litościwa osobo — choć parę grosików na chleb! Żona, teściowa, siedmiu synów, ośm córek nic dziś jeszcze nie jedli.

— Dla takiej rodziny, to ty potrzebujesz z dziesięć koron na obiad, a ja tyle żebrakom nie daję...

Awans.

— Zkądże to idziecie, Maciejowo?

— Je ide panocku, od syna z Wadowic.

— No i jakże mu się tam przy wojsku powodzi? Awansował?

— Ho, ho! panocku! Un juz »przeskocuł« tego Bartka Kundzinego, co to jes frajtrem psy wojsku.

— Tak? a to się ślicznie spisuje. Czemże został? Kapralem?

— Ho! ho! panocku! Jesce wyży...

— No?!... feldweblem?

— Ho, ho! jesce wyży...

— To czemże go do dyaska zrobili?! Oficerem?

— Nie bede juz panocka za język ciągła. Un został takim prewetynerem, co samego pana lajtmana pucuje...

Potęga muzyki.

A. — Panie sąsiedzie! wasz pies znowu się gdzieś zawieruszył.

B. — Dyabeł wie, co to ma znaczyć. Odkąd moja córka rozpoczęła naukę gry na fortepianie, żaden pies domu się nie trzyma..

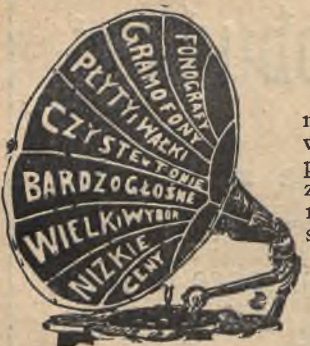
— Co pan tak kiepsko wygląda?

— E! — zmartwienie.

— Zmartwienie, powiadasz pan? jakiegoż ono rodzaju.

— Żeńskiego, panie dobrodzieju, żeńskiego.

Tylko dobry gramofon



może w kółku domowem sprawić wielką przyjemność i zupełnie zastąpić wszelkie instrumenty. — Ponieważ posiadam

gramofony

li tylko z pierwszorzędnych fabryk i sprzedaję takowe po cenach oryginalnych fabrycznych, mogę je zatem Szanownej Publiczności najsumienniej polecić. Proszę się osobiście przekonać, **bez przymusu kupna!**

Płyty do gramofonów

zupełnie czysto i wyraźnie grające, z dwóch stron ograne już od 2,00 mk. począwszy.

Fonografy i wałki w wielkim wyborze

„Camera" Z. Śniegocki

Pierwszy specyalny skład gramofonów i aparatów fotograficznych.

Reparacye gramofonów tanio i dobrze!

Obszerne katalogi z ilustracyami na życzenie darmo w dom.

Podróże zbiorowe: **Programy bezpłatnie.**

Riwiera: Medyolan — Genua — San Remo — Mentona — Monte Carlo — Nicea — Cannes. Odjazd 1-go lutego. Cena 400 marek. 13 dni w podróży.

Włochy: Południowa Francya — Riwiera — Całe Włochy — Sycylia. Cena 780 mk. — 30 dni. Odjazd 18 lutego.

Algier — **Tunis** — **Biskra** (Sahara). Odjazd 7 marca. **Hiszpania**. Odjazd 5 kwietnia. **Morze śródziemne**, Ateny, Konstantynopol. Odjazd 6 kwietnia.

Biuro podróżn. J. Wierzbicki & Sp. München, Dachauerstr. 4

Co dopiero wyszła w 3-ciem wydaniu znakomita książka kucharska

Makarego 730 obiadów

wielkich, średnich i małych, mięsnych i postnych z opisem śniadań i wieczerzy, tudzież spiżarni, sklepu i kuchni dla chorych, oraz pieczenia ciast i robienia konfitur. — Wielki format, papier gruby, druk bardzo wyraźny, str. 360. Cena bez oprawy 2,20 mk., z opr. 3.00, porto 20 fen. Należytość uprasza się nadsyłać naprzód przekazem do

Księgarni Katolickiej, Poznań, ulica Jezuicka 5.

Uwaga: Makary był jednym z najlepszych kucharzy polskich, który sztuki gotowania uczył się w Francyi i Anglii, a wróciwszy z podróży po Europie, osiadł w Poznaniu i zarządzał kuchnią w Bazarze, największym hotelu tego miasta. — Potrawy w jego książce podane nie są wypisane z innych dzieł, lecz oparte na własnem, długoletniem doświadczeniu i dla tego każdy przepis jest bardzo dobry i zaspokoić może największe wymagania. — Można zamawiać także i za zaliczką pocztową.

Rozszerzajcie pismo nasze!

Dr. med. Antoni Szac,

lekarz specj. w chorobach kobiecych i położnictwie

były pierwszy asystent tajnego radcy profesora dr. Ehlersa i profesora dr. Krukenberga w Brunświku i były asystent prof. dr. Strassmanna w Berlinie,

mieszka **w Berlinie W.,**

Bayreutherstr. 32, wysoki part.

tuż przy Wittenbergsplatz.

Ważne dla podróżujących!

Osobom przybywającym na czas dłuższy lub krótszy do Berlina pozwalam sobie polecić **pokoje** wygodnie urządzone, świeżo odnowione po cenie przystępnej. Dobra polska usługa, na życzenie całkowite utrzymanie. Kuchnia zdrowa i smaczna, dla chorych z zastosowaniem przepisów lekarza.

Ludwika Biedermann,

Berlin, Dessauerstr. 35, II.

4 minuty od Poczdamskiego placu i Lipskiej ulicy.



Arystokratyna

mydło, krem, puder, proszek do mycia

fabryki perfum i kosmetyków

aptekarza

Z. Rittera Następcy

Poznań O. 1

są podług obecnego stanu wiedzy niezbędne do pielęgnowania płci.

Złoty medal Lwów 1908 — **Złoty medal Poznań 1907**

Do nabycia wszędzie

Redaktor odp. na Galicyą Teofil Cholewicz w Krakowie. Czcionkami „Dziennika Poznańskiego.". — Wydawca A. Marweg w Poznaniu. Redaktor odp. Józef Zieliński w Poznaniu.